

O P A T.

ТАЧО

*Scott Wetter*  
**OPAT.**  
**ROMANS**  
**WALTERA-SKOTTA.**

PRZEŁOŻONY  
p r z e z  
F. S. DMOCHOWSKIEGO.

*François Schœry.*  
**TOM PIERWSZY**

*Q*  
**WARSZAWA.**

w DRUKARNI PRZY ULIICY ELEKTORALNEY Nr. 795  
NAKŁADEM TŁOMACZA.

1830.

11/90

ATTOZELIUSKIN

10000 ZŁOŃCZÓW

Zapozwoleniem Cenzury.



656/113

01/01

A.248/921

\*\*\*\*\*

## PRZEDMOWA Wydawcy Polskiego.

*Pasmo wypadków ciągnących się od panowania Maryi Sztuart, wstąpienie Sztuwartów na tron Angielski, ich upadek i kilkakrotne usiłowania ku odzyskaniu władzy, czynione aż do pierwszych lat panowania Jerzego III, podały Walter-Skottowi przedmiot do wielkiej części iego romansów, które pod względem historycznym, następującym porządkiem ułożyćby można: Klasztor, Opat, Kenilworth, Nigel, Woodstock, Peveril, Purytanie, Wawerley, Redgauntlet.*

*W Klasztorze maluje autor początkowo we postępy ducha reformacji w Szkocji, w Opacie iego rozwinięcie i los Maryi Sztuart, kończąc go na iedy schronieniu się do Anglii, gdzie zamiast spodziewanej gościnności, męczarnie i śmierć znalazła. Ponieważ między romansem Klasztor, a następnym Opat, związek zachodzi, winien przeto, wydając ten drugi na widok publiczny, poprzedzić go krótkim objaśnieniem, które do zrozumienia kilku szczegółów potrzebnem będzie.*

Zamek Awenelu nie daleko granic Anglii położony, był własnością Waltera Awenel, który poległ w boju, a iego córka i żona musiały szukać schronienia w ustronnej osadzie Glendearg, zależącą od bogatego opactwa Świętej Maryi, gdzie u rodzinny Glendinning znalazła przytułek. Zamek Awenelu zagarnął na mocy feudalnych zwyczaiów, Julian Avenel, brat zmarłego, z pokrzywdzeniem swej synowicy.

Lady Awenel wdowa, umarła w Glendearg, a ięj córka Marya, została pod opiekę wdowy Elspeth Glendinning, której dwaj synowie, Albert i Edward, uczuli miłość dla Maryi. Los sprzyiał bardziej Albertowi, pozyskał wzgłydy Murraia reagenta, Szkocji, wsławił się pod nim na różnych bitwach, a gdy Julian Avenel w utarczce z Anglikami poległ, Albert Glendinning zaślubił Maryę Awenel, i z nią razem przeszedłszy na wiare reformowaną, objął zamek i dobra Awenelu. Edward Glendinning oblókt suknie zakonne w opactwie Świętej Maryi. Po Julianie Awenel pozostał syn, niemowlę, iak mniemano z nieślubnego związku, ale przy końcu romansu Klasztor niewiadomo co się z nim stało.

---

LIST AUTORA WAWERLEJA  
DO KAPITANA KLUTTERBUCK  
SLUŻĄCY ZA PRZEDMOWĘ.

*Kochany Kapitanie!*

Zasmuciłem się, wyczytawszy w twoim ostatnim liście, iż ci się nie podobały liczne zmiany i skrócenia które musiałem użynić w drugiej części rękopisu twoiego przyjaciela Benedyktyna, do ciebie przeto zwracam mowę żeby się usprawiedliwić w oczach ludzi którzy mię większym okryli zaszczytem aniżeli zasłużyłem.

Przyznaję, iż skracania te są liczne, i że zostawiają przerwy w historyi; mogłyby o jeden tom bydż obszerniejszą gdybym się wiernie trzymał oryginalnego rękopisu. Czuię to, że iey nie dostaie szczegółów, pożądanych może czytelnikowi. Lecz z tem wszystkiem lepię

*Tom I*

iest, ażeby podróźny musiał przeskoczyć przez rów wykopany dla osuszenia bagna, aniżeli żeby ugrązł w błocie; lepięż żeby czytelnik sam sobie objaśnił okoliczności których się łatwo domyśli, aniżeli żeby musiał czytać nudne objaśnienia. Naprzykład, wyrzuciłem wszystko co miało iaki związek z Damą Białą i wszystkie wiersze stosujące się do téy nadprzyrodzonéy istoty. Ale przyznasz że publiczność nie okazała zamiewania w tych zabobonnych legendach, napełniających rozkoszą i trwogą naszych przodków. Również odjałem matce Magdalenie i Opatowi część zapału dla dawnéy religii, ponieważ od czasu reformy, mało nas obchodzi to, co było dawniény wszechwładną zasadą w Europie.

Słusznie mówiąłeś, iż z tych skróceń wynika, że tytuł nie stosuje się do przedmiotów, i że każdy inny nie zaś OPAT byłby właściwszy temu dziełu; gdyż Opat, dla którego twój przyjaciel Bene-

dyktyń natchnął cię sympatyczném u-  
szanowaniem; iest bardzo znaczącą o-  
sobą w oryginalę. Powiem ci jednakże,  
dla usprawiedliwienia się chociaż w czę-  
ści, iż łatwo byłoby mi dać inny tytuł  
tégo pracy, lecz w tenczas niszczyłbym  
związek między KLASZTOREM i tą po-  
wieścią a tego nie chciałam uczynić,  
ponieważ rzecz dzieje się w tym samym  
czasie, i kilka tychże samych osób w niéy  
działa.

Z resztą mój kochany kapitanie, ma-  
ło mię to obchodzi iaki jest tytuł xię-  
żki, a jakie wypadki zawiera, byleby  
ściągnąła na siebie uwagę publiczności;  
gdyż dobry gatunek wina (kiedy można  
za nim zaręczyć) iak mówi stare przy-  
słowie, obedydzie się bez niepotrzebnéy  
karteczkii.

Przyimiy kochany kapitanie za-  
pewnienie prawdziwéy przyjaźni.

*Twoiego etc etc. etc.*

*Autor Wawerleia.*

---



# O P A T.

## RO Ż DZIAŁ I.

„Domam mansit. — Lanam fecit.”

Dawny napis Rzymski.

Czas, tak nieznacznie przelatując nad naszemi głowami, sprawia stopniowo też same zmiany w naszych zwyczaiach, obyczaiach i charakterach co i w naszych fizycznych siłach. Po każdym upływie pięciu lat, zawsze czujemy żeśmy się odmienili: zmieniły się nasze cele i widoki; pod tym samym względem nie zapatruiemy się na przed-

mioty, a pobudki naszego postępowania również się zmieniają. Ten przeciag czasu zaledwie dwa razy upłynął nad głową Glendinninga i jego małżonki, międy epoką gdzie się kończy powieść w której on tak znaczną był osobą, a ta gdzie się zaczyna nasze nowe opowiadanie.

Byli tak szczęśliwi w małżeństwie, iż można być przy wzajemnym przywiązaniu, lecz do tych słodyczy mieszała się gorycz z powodu dwóch okoliczności. Pierwszą, była to klęska wspólna całego Szkocji, i ciągłe rozruchy w tym nieszczęśliwym kraju, gdzie każdy godził oręzem w pierś swoiego sąsiada. Glendinning okazał się takim, iakim się spodziewał Murray, niezachwianym przyjacielem, walecznym na polu bitwy, roztropnym w radzie; przez wdzięczność ogłaszał się za sprawą swego dobroczyńcy, tam nawet, gdzie bez tych ważnych побudek, byłby pozostał bezstronnym,

lub byłby walczył w przeciwnych szeregach. Z téy więc przyczyny, w nagłym niebezpieczeństwie (a rzadko kiedy było oddalone) Sir Albert Glendinning, (1) gdyż otrzymał stopień rycerza, przywoływany był do Murraya, żeby mu towarzyszyć w dalekich wyprawach, pomagać w niebezpiecznych przedsięwzięciach, lub udzielać rady w zawiłanych intrygach na wpół ucywilizowanego dworu; często więc i na długim czasie, nieobecnym był w zamku i oddalonym od małżonki. Do téy przyczyny smutku, przyłączała się inna jeszcze: małżeństwo nie obdarzyło ich żadnym żywiącym zakładem miłości, lady Awene pozabawiona towarzystwa męża nie miała rozrywki jakoby iéy przyniosły starania około dzieci.

Podeczas nieobecności Sir Alberta, żyła zupełnie oddalona od świata, zamknięta w zamku przodków. Odwiedzała sąsiadów iedyne przy uroczy-

stych obchodach, i to tylko naybliższych krewnych. Śmierć zabrała ię w sztywnych, a żony sąsiednich baronów, uavanaugh iż ią uważają nie jako dziedziczkę domu Avenel lecz jako żonę wieśniaka, syna lennika Kościoła, który wyrosł nagle z ziemi jak grzyb po deszczu i wyniesienie swoie winien był lasce i względom Murraya. (1)

Ta duma urodzenia, mocno zakorzeniona w sercach dawnego szkockiego szlachty, iawnie okazywała się w kobietach; zwiększały ią panujące niesnaski polityczne: gdyż większa liczba wodzów w części południowej królestwa, wspierała władzę Królowej i zazdrościła potędze Murraya. Z tych wszystkich przyczyn zamek Avenel był tak smutnym schronieniem jakie tylko sobie wystawić można. Miał jednakże tę korzyść iż był obronnym miejscem. Leżał na wyspie wśród małego jeziora, prowadzącą do niego usypana grobla, na

---

(1) Patrz Klasztor tom IV rozdział IX.

którę stały zwodzone mosty tak, że bez użycia armat mieysce to w owej epoce było niedobytém. Dla obrony więc przeciw niespodzianemu napadowi, sześciu zbrojnych wystarczało. Jeśli groziło większe niebezpieczeństwo, mieli pomóc ze wsi która pod opieką Sir Alberta Glendinning wzniósła się na małej dolinie między ieziorem i górami. Ludność ię szybko wzrosła, nie tylko dla tego że Sir Glendinning był dla nich dobrym panem, ale że iego waleczność, doświadczenie i względy Murraya, sprawiały, iż mógł wspierać i bronić tych, którzy się pod jego opiekę uciekali. Gdy odjeżdżała na czas jakiś, miał tę pociechę, że zamek iego w mgieniu oka mógł mieć trzydziestu ludzi na swoje obronę, a ich rodziny podług dawnego zwyczaju w podobnych zdarzeniach, chroniły się w góry z całym dobytkiem, nieprzyjacielowi zostawiając próżne chaty, żeby z niemi robił co mu się podoba.

Jedna tylko obca osoba często przebywała w zamku Avenel. Był to Henryk Warden. Wiek iego, utrudniał mu obowiązek który na niego wkładało dochowanie reformowane, a przez swoje gorliwość obraziwszy osobiście kilku zeszlachty i pierwszych wodzów, musiał przebywać w obronnych zamkach u doświadczonych przyjaciół. Jednakże nieprzestawał broniąc piorem świętę sprawy iak dawniey bronił wymową, i wiódł właśnie zapalony spór z Opatem Eustachym, dawnym przeorem klasztoru Stéy, Maryi z Kennaquchair. Jedna odpowiedź szła za drugą, a walczący, podług zwyczaiu, w swoich polemicznych rozprawach okazywali wiele gorliwości a mało miłosierdzia chrześciańskiego. Ta mała walka, tyle w krótko sprawiła hałasu ile spór między Janem Knoxem i Opatem Corseraguel, a pisma do których dała powód, powinny być w oczach bibliografów tak ważne iak te któ-

re wynikły z tego drugiego sporu. Lecz te zatrudnienia nie bardzo przyjemnym czyniły iego towarzystwo dla samotnej kobiety, a postać surowa, poważna, zamyślona, i obojętność na to wszystko co się nie dotyczyło zasad religijnych, sprawiały, że iego obecność rozpościerała w zamku ieszcze większy smutek.

Lady Ayenel większą część dnia spędzała na dozorowaniu robót kobiecych. Kądziel, biblia, samotna przechadzka na tarassie zamkowym, na grobli, lub czasem nad brzegiem jeziora, resztę dnia zajmowały. Takie niebezpieczeństwo panowało w tenczas w Szkocji, że ile razy chciała się dalej udadź niż do wioski, straż występowała na najwyższą wieżę, ażeby widzieć co się dzieje w okolicach, a na naymnięszy znak bezpieczeństwa, czterech konnych, gotowych było spieszyć na ię obronę.

W takim stanie były rzeczy w zamku,

gdy po kilko tygodniowéy nieobecności, codziennie się spodziewano powrotu rycerza Avenel: tak nazywano częstokroć Sir Alberta Glendinninga. Jednakże dni upływały a on nie przyjeżdżał. — Rzadko kiedy pisywano listy w téy epoce: dla użycia tego środka, nie jeden rycerz musiałby wezwać pomocy sekretarza. Oprócz tego, wszelkie środki porozumiewania się były nie trwałe i niebezpieczne, a nikt nie myślał publicznie ogłaszać mięscia i celu swoiéy podróży, mógł bowiem bydź pewnym iż w takim razie więcéyby napotkał nieprzyjaciół niż przyjaciół. Albert nie oznaczył chwili powrotu swoiego, lecz dzień w którym się go spodziewała lady Avenel iuż dawno minął, a iey zawiedzona nadzieję zaczęła się w niespokojość zamieniać.

Wieczorem, w lecie dnia bardzo gorącego, słońce iuż kryło się za góry Liderdalu, gdy lady Avenel przechadzała

się na tarassie zamkowym wyłożonym wielkimi kamieniami. Spokoyną powierzchnię jeziora wzruszały tylko cyranki lub kaczki wodne, kiedy niekiedy zanurzające się w wodzie, a wody złoczone ostatniemi promieniami znikające gwiazdy dziennéy, odbijały w sobie jakby w zwierciadle, góry, które otaczały jezioro. Ten spokoyny obraz, ożywiały okrzyki igrających dzieci, i głos pastrzy zwołujących trzody z pastwiska. Ryk krów wzywał mleczarki, które śpiewając zabierały się do swoiéy wieczoruéy pracy. Ten widok przypominał lady Avenel dni iéy młodości, kiedy iéy naywiększą uciechą, nayważniéyszem zatrudnieniem, było, dopomaganie Tibbi w doieniu krów na folwarku Glendinning. To wspomnienie smutkiem ią przejęło.

— Dla czegoż? pomyślała sobie, dla czegoż nie byłam tą młodą wieśniaczką, za którą uchodziłam? Albert, wiodłby przy mnie spokoynie życie w rodzinéy

dolinie, nie dręczyłby go duch pychy i dumy. Jego naywiększe życzenie ograniczałoby się na tém, ażeby mieć naypięknięszą trzodę w posiadłości Stéy Maryi; naywiększe niebezpieczeństwo, na odpieraniu napadów pograniczych włóczęgów, i nigdyby nas większa odległość nie rozdzielała, nad tę, do którejby się za Daniëlem na polowaniu zapędził. Lecz niestety! na cóż się przyda krew, którą przelewa żeby utrzymać imię dla tego tak mu drogie, że odemnie ie powziął? Nikomu go nie zostawiemy; imię Avanelów zginie razem z nami.

Westchnęła zastanawiając się nad swoim losem, arzuciwszy okiem na brzegi jeziora, postrzegła gromadę dzieci przypatrującą się małemu statkowi, zrobionemu przez młodego wiejskiego artystę, który miał pierwszy raz doświadczyć żeglugi. Spuszczono go na wodę wśród oklasków i radosnych okrzyków młodych

marynarzy. Wiatr mu sprzyiał i pędził na drugą stronę jeziora. Naystarsi z chłopców puścili się ażeby go schwycić na przeciwnym brzegu, wyściegali się jak młode ielonki. Naymłodsi, którym ta droga zdawała się za daleka, zostali na mięscu zkad odpłynął statek, i wzrokiem ściegali wszystkie iego poruszenia. Widok ich niewinnych uciech nowym ciężarem przytłoczył serce lady Avenel.

Dla czego nie jestem matką którego z tych dzieci? pomyślała, wracając do swoich smutnych myśli. Rodzice zaledwie ie mogą wyżywić, a ja którą los obdarzył dostatkiem, skazana jestem ażebym nigdy nie usłyszała dziecięcia wołającego na mnie: matko!

Ta myśl pełna goryczy, dała prawie przystęp zazdrości do iey duszy: tak mocno natura zaszczepiła w sercach małżonek żądzę odrodzenia się w dzieciach. Złożyła ręce wznosząc ie do nieba, iak gdyby chciała się zapytać czemu wyryło na iey

czole: „Nie będziesz mieć dzieci?” Ogromny pies rasy chartów zbliżył się w téy chwili, przyciskał swą głowę do iéy kolana, lizał ręce, i otrzymał pogłaskanie którego się domagał, lecz wrażenie uczynione na iéy sercu, nie znikło.

— Wolfie, rzekła, iak gdyby mógł rozumieć iéy żale, iesteś piękne i szlachetne zwierzę, lecz niestety! czułość, która przepełnia moje serce, ktorąbym chciała zlać na upragnioną istotę, jest zbyt szlachetna, zbyt wzniósła, ażeby mogła spływać na ciebie.

I iak gdyby chciała wynadgrodzić Wolfowi iżmu odmawia swego przywiązańia, głaskała go, a tym czasem wierne zwierzę zdawało się badać w iéy oczach czego może iéy nie dostawać, i coby mogło zrobić żebyią przekonać o swoim przywiązaniu. W téy chwili, przeróżliwy krzyk powstał pomiędzy gromadą dzieci, nie dawno tak wesoło bawiących się nad

brzegiem jeziora. Lady Avenel spojrzała i przestrach ią ogarnął widząc co tego było przyczyną.

Mały statek, przedmiot uwagi i radości chłopców, uwiązał w sitowiu rosącém na odłamku skały, odległym od brzegu o rzut strzały. Jeden z nich, który nay-pierwéy zaczął biedz wzdłuż brzegu, bez wahania się natychmiast zrzucił suknie, skoczył w wodę i popłynął ku statkowi. Z razu nikt się o niego nie obawiał.— Pływał silnie i zręcznie, nawykły był do tego ćwiczenia i nie sądził żeby mu groziło niebezpieczeństwo. Lecz, czyli to pływając uderzył piersiami o iaką skałę ukrytą w wodzie, czylī to kurez go uchwycił, czylī też nakoniec za nadto zaufał swoim siłom, zaledwie wydobył statek z sitowia, puścił go na wodę i zawrócił się do brzegu, usłyszano iego krzyk i uyrzano poruszenia oznaczające bolesć i boiąźń.

Lady Avenel, przestraszona, kazała

spieszyć mu na ratunek. Lecz tego rozkazu nie było można uskutecznić w mgnieniu oka. Jedyną łódź którą wolno było pływać po jeziorze, zaciągnioła na drugi przekop zamkowy; trzeba było kilku chwil żeby odesiąć łańcuch i spuścić ją na jezioro. Przez ten czas, z okropnym przerażeniem widziała lady Avenel usiłowania biednego chłopczyka: a tak był osłabiony iż byłby nadaremne, gdyby nie pomoc równie szybka jak niespodziana. Wolf był nazwyczaiony do pływania po wodzie; spostrzegł przedmiot, na który iego pani miała zwrócone oczy, odbiegł ją i szukał nabyłszego mieysca z kądry mógł się rzucić w jezioro. Z tym instynktem godnym podziwienia, którego nie raz te szlachetne zwierzęta dały dowody w podobnych okolicznościach, płynął wprost do mieysca gdzie iego pomoc była tak potrzebną, a uchwyciwszy dziecię za suknie, nie tylko u-

trzymał ie na wodzie, ale przyciągnął do grobli. Łódź wypłynąwszy z kanału napotkała go na pół drogi, i wyciągnęła z wody dziecię, iuż niedające żadnego znaku życia. Przyniesiono ie do zamku, lady Adenel zeszła do bramy, żeby mu dać rychły ratunek. Złożono ie na łóżku, i żeby przywrócić do życia, użyto wszystkich środków jakie były znane w owym wieku, i jakie tylko podało doświadczenie Wardena, któremu sztuka Hypokrata nie była zupełnie obca. Przez kilka chwil wszystkie starania były bezskuteczne, a lady Avenel z niewypowiedzianą obawą wpatrywała się w twarz pięknego dziecięcia. Zdawało się że miało około dziesięciu lat. Jego odzienie było grubie, lecz długie iasne włosy i zaymuiąca twarz nie zgadzały się z temi oznakami nędzy. Naydumniejszy Szkot pochwaliłby się, gdyby mógł to dziecie nazwać swoim. Gdy lady Avenel

nie śmiejąc oddychać, ciągle miała oczy wlepione w te odznaczające się i miłe rysy, lekki rumieniec zaczął występować na jego lice, krew ścięta w żyłach zaczęła szybcie krążyć, dziecię wydało głębokie westchnienie, wyciągnęło ręce i słabym głosem wymówiło te słowa: „Moja matko” słowa naymiljsze dla ucha kobiety.

— Milady, rzekł Warden, Bóg wysłuchał twojej prośby i wrócił ci to dziecię. Do ciebie więc należy ażeby tak było wychowane, ażeby nie żałowało kiedyś, iż nie umarło w stanie nie-winności.

— Dołożywszeliwzych staran, odpowiedziała lady Avenel, a tuląc dziecię w swoich objęciach, obsypywała je pieszczotami, wzruszona przestrachem iaki w niej iego niebezpieczeństwo wznieciło i radością że je widzi przywróconym do życia.

— Lecz ty nie jesteś moją matką,

rzekłóż dziecko, przychodząc do zmysłów, i zwolna wydzieraiąc się pieszezotom lady Avenel. Ty nie iesteś moją matką.... Niestety! ja nie mam matki... mnie się tylko sniło, że ią mam.

— Ja zjuszczę twój sen, zawała Lady Avenal..... ja będę twoją matką. Bóg zapewne wysłuchał moię prośby, a w swoich cudownych rozrządzeniach, zesłał mi ten przedmiot, na który zlać mogę przywiązanie moie... Patrzała na Wardena mówiąc te słowa. Kaznodzieia milezał, nie wiedząc co odpowiedzieć na to namiętne uczucie, w którym upatrywał więcej zapalu aniżeli okoliczność wymagała. Ale Wolf tak iak był zmoczony poszedł za swoją panią do pokoiu i leżała spokojnie przy łóżku, przypatrując się iak przywrócono do zmysłów istotę, której uratował życie; chciał też z kolei zwrócić na siebie uwagę, a mrucząc i wyciągając długą łydę, po kilka razy skróbanął po sukni swoją panię.

— Dobrze, mój poczciwy Wolfie, dobrze, rzekła mu, nie zapomnę o twoim przysłudze, i ieszcze bardziej będę cię lubić żeś uratował to ładne dziecię.

Nie poprzestał na tem Wolf, ciągle się fusił, lady Avenel kazała go służącemu wyprowadzić z pokoiu. Ale Wolf nie usłuchał, wyszedł dopiero wtedy, gdy mu lady Avenel z gniewem rozkazała. Obracając się do łóżka, na którym leżało dziecię odzyskujące zmysły, zaczął warczyć pokazując ostre zęby, któreby się i wilka nie ustraszyły, potem smutny i niechętny poszedł za służącym.

— To osobliwsza, rzekła lady Avenel do Wardena.... to zwierzę zawsze jest tak dobre, szczególnie lubi dzieci, coż może mieć do tego, któremu życie ocaliło?

— Psy, rzekł Warden, aż nadto są podobne w ułomnościach do ludzi,

choćiąż ich instynkt mniemy zawodzi, iak rozum biednych śmiertelników kiedy na samą iego pomoc rachuią. Zazdrość nie iest im obca namiętnością, często tego dają dowody, nie tylko wtedy kiedy ich panowie okazują większą życzliwość któremu z nich, ale nawet kiedy dzieciom dają pierwszeństwo. Nie skąpiłaś temu dziecięciu pieszczot, a Wolf sądził, iż wypadł z łaski.

— Dziwny to instynkt, i taką powagę przybrałeś mówiąc o tem, mój szanowny przyjacielu, iż gotowam uwierzyć, że uważasz tę szczególną zazdrość moiego poczciwego Wolfa, nie tylko jako istotną, ale nawet jako usprawiedliwienia godną. Zapewne żartem mówisz?

— Rzadko kiedy żartuję milady. Obdarzono nas życiem dla ważniejszych celów. Możesz ieśli ci się podoba wyciągnąć z tego com powiedział, tę naukę, że naychlubniejsze uczucia do zbytku po-

sunięte, mogą się stać dla drugich źródłem cierpień. Jednemu tylko wolno nadać moc do iakiéy iest zdolne serce ludzkie; nigdy nie ma w niém zbytku do iakiegokolwiek stopnia i go posuniemy, iest to miłość naszego Stwórcy.

— Lecz on właśnie sam nakazał nam miłość bliźniego.

— Tak iest milady, lecz miłość Boga powinna bydź bez granic, powinniśmy go miłować z całego serca, z całego duszy, z całych sił naszych. Miłość, którą nam nakazuje dla bliźniego, iest ograniczona w pewnych obrębach; powinniśmy go kochać iak siebie samych: iest przykazanie, aby z nim postępować tak, iakbyśmy chcieli żeby z nami postępowano. Takie są granice naszych uczuć dotyczących się ziemskich przedmiotów. Winniśmy naszemu bliźniemu, iakikolwiek iest jego stopień i związek z nami, taką samą przychylność, iakiéyбыśmy żądali od osób podobnież położonych

względem nas; lecz ani mąż, ani żona, ani syn, ani córka, ani krewny, ani przyjaciel, nie powinni bydż przedmiotem ubóstwiania. Bóg nasz iest zazdrosnym Bogiem. Nie pozwala zupełnego poświęcenia się dla naszego bliźniego, które iemu wyłącznie się należy. Mówię ci więc Milady, że w uczuciach nocy czystszych, naychwalniejszych, można odkryć pierwotną skazę grzechu, i dla tego winniśmy zastanowić się i namysleć, nim się im zupełnie poddamy.

— Nie rozumiem cię, mój zacny przyjacielu, i nie pojmuię co mogłam takiego powiedzieć lub zrobić, żem dała powód do tych przestróg, które nawet podobne są do wyrzutów.

— Przebacz Milady, ieśli przestępsem granice należących ci względów: lecz wieszli czy twoia uroczysta obietnica, że będziesz nie tylko opiekunką, ale i matką tego biednego dziecięcia, otrzyma potwierdzenie twoiego męża?

Sam twój pies ulubiony, wyrzucał ci  
że tak powiem, nadzwyczajne oznaki  
czułości dla tego biednego, a nawet do-  
dam, zaymującego dziecięcia... Strzeż  
się, ażebyś przez to nie obrazila two-  
iego męża. Mężczyzni są zazdrośni o  
miłość tych, których kochają.

— To za nadto! zawała lady Ave-  
nel, obrażona tą mową: rycerz d'Ave-  
nel i ja, daliśmy ci przystęp do nasze-  
go zamku, przyymowaliśmy cię z wzglę-  
dami i uszanowaniem winnem twoiemu  
powołaniu i charakterowi... lecz nigdy-  
śmy ci nie pozwolili wdawać się w na-  
sze stosunki domowe, ani cię obierali-  
śmy sędzią naszego postępowania. Pa-  
miętaj o tem na przyszłość.

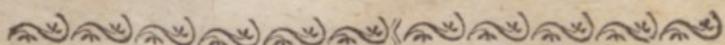
— Milady, odpowiedziała Kaznodzieja  
z śmiałością, którą się w téy epoce odzna-  
czało duchowieństwo reformowane. Kie-  
dy ci moje przestrogi będą ciężarem, kie-  
dy zobaczę, że moia przymiotność iest  
tobie niemiłą i twoiemu szlachetnemu

małżonkowi, wtenczas poznam, że wo-  
lą moiego pana iest, ażebym tu dłużey  
nie pozostawał, błagać go będę, żeby  
na waszę rodzinę zlał swoie błogosła-  
wienstwo, lecz czyli to wśród zimy,  
czyli o północy, przeydę przez te lasy,  
przedrę się na te góry, sam, bez pomo-  
cy, iak wtenczas kiedy napotkałem pier-  
wszy raz twoiego męża na dolinie Glen-  
dearg, i byłem ieszcze w nędzniejszym  
stanie. Lecz póki pozostań w tym zam-  
ku, dopóty, ilekroć na włos ieden  
zboczysz z prawej drogi, tylekroć u-  
słyszysz napomnienia starca. Doma-  
wiając tych słów postąpił kilka kroków  
chcąc wyjść.

— Mój zacny przyjacielu, rzekła la-  
dy Avénel, która go kochała i szanowa-  
ła, chociaż się czasem obrażała iego  
zbytelną gorliwością,... nie rozłączymy  
się w ten sposób; kobiety czasem są  
uraźliwe, ponieważ żywo czuią; lecz

wierzay, moje zamiary względem tego dziecięcia są takie, iż się podobały mojemu mężowi i tobie.

Warden skłonił się, i odszedł do swoiego pokoiu.



## ROZDZIAŁ II.

Ręce wyciągnął do mnie, matko, na mnie wołał,  
Wzięłam go, który inaczey postąpićby zdołał?  
Wzruszona iego płaczem, iękami, tesknotą,  
Czyliż mu odkryć mogłam, że został sierotą?

*Hrabia Bazylis.*

Po odeyściu Wardena, lady Avenel oddała się czułości, którą w nięy wzniecił widok tego nieszczęśliwego dziecięcia, i niebezpieczeństwo na jakie było narażoném. Nie wstrzymywana surowością kaznodziei, obsypywała pieszcztami miłe dziecię, lecz ono przyszedłszy do siebie, obojętnie i z podziwieniem przyjmowało te oznaki przychylności. Nie znało twarzy téy pani, nie widziało jeszcze nigdy tak pięknych sukien. Lecz natura obdarzyła ie śmiały umysłem;

dzieci w ogólności znają się na fizyonomii. Nie tylko uymuie ich to, co iest w saméy rzeczy piękném, ale umieją rozróżnić prawdziwą troskliwość osób co ie kochają. Jeśli znaydą w towarzystwie osobę lubiącą dzieci, zdaie się, że ią poznaią iakoby przez instynkt, lubo iey nigdy nie widzieli; a często odpychają niezręczne pieszczyt tych, którzy ie piesząc chcąc się przypodobać rodzicom. Dziecię więc odpłaciło w końcu pieszczyt lady Avenel; z trudnością przyszło iey odstąpić chłopczyka, a potrzebował wypoczynku.

— Czy iet iest dziecię, ten mały chłopczyk, któregośmy uratowały?... zapytała się służącę, skoro wróciła do pokoiów.

— Starę kobiety ze wsi, odpowiedziała Lilia... iest ona u odźwiernego; przyszła dowiedzieć się, co się dzieje z dzieckiem. Czy kažesz ią wpuścić milady?

— Czy każę! powtórzyła lady Avenel z podziwieniem, iak możesz wątpić? któraż kobieta nie ulitowałaby się nad udręczeniem matki lękającę się o tak lube dzieię?

— Oh! zawałała Lilia ... ta kobieta iest za stara na iego matkę; to musi bydź iego babka albo prababka.

— Mnieysza o to Lilio, odpowiedziała iéy pani, lecz iakiekolwiek iest pokrewieństwo iéy z tém dzieięciem, może doznawać okropnych męczarni nie wiedząc co się z nim dzieie. Niechay zaraz wniydzie. Tém bardziyé, że radabym wiedzieć iaka iest iego rodzina.

Lilia odeszła i wkrótce wróciła, z wysoką kobietą, w której ubiorze, chociaż oznaczał niedostatek, można było dostrzec większość staranności i ochędostwa iak pospolicie u wieśniaków. Lady Avenel od razu ją poznała. Było zwyczajem, iż w niedzielę, i prócz tego dwa razy w tydzień, Henryk Warden miewał w kapli-

cy kazanie lub naukę. Sir Glendinning dla widoków politycznych i z własnego przekonania, starał się rozkrzwić wiare protestancką. Drzwi kaplicy stały więc otworem dla wszystkich wieśniaków, nawet zachęcano ich żeby przychodzili na modlitwy, i kilku wkrótce przyjęło wiare, którą ich pan wyznawał. Te kazania Wardena, ieszcze mocnię drażniły opata Eustachiego, i większą zaprawiły cierpkością spory z iego dawnym szkolnym towarzyszem. Często groził opat, iż uzbroi swoich poddanych, zdobędzie zamek d'Avenel i wytępi ten ród heretyków. Lecz nie zważając na te bezsilne groźby, i lubo nowa wiara, miała ieszcze mało stronników w kraju, Warden z ciągłym zapałem pracował, a ilekroć nawrócił kogo na wiarę protestancką, nazywając radości doznawał. Stara kobieta, należała do wieśniaków, którzy nazywali bywali w kaplicy, a ię postać i rysy twarzy tak były odznaczające

się, iż kto ją raz widział, łatwopotem mógł poznać. Lady Avenel, pytała się kilka razy kto jest ta kobieta, który postać pełna godności, tak nie odpowiadała iż nie dżný odzieży. Zawsze iż mówiono, iż jest Angielką, mieszkającą od niedawnego czasu we wsi, i że nikt nie wie zkad przybyła.

Lady Avenel zapytała iż jak się nazywa?

— Magdalena Groems; odpowiedziała ozięble nieznaiona; pochodzi od Groemsów z Heathergil, z lasów Nicol; moja rodzina nie od wczoraj powstała.

— Dla jakich powodów opuściłaś twój dom?

— Ja nie mam domu, .... spalili go wasi pograniczni włóczędy ... Męża mego i syna zabito. Ani jedný istoty nie masz na świecie, w którychby żyłach płynęła krew moiego rodu.

— Są to powszechnie wypadki w tych nieszczęśliwych czasach i w tym zni-

szczonym kraiu. Tak często ręce Anglików broczyły się w naszey krwi iak Szkotów w waszey.

— Możesz tak mówić milady, gdyż były czasy kiedy ten zamek nie mógł ocalić życia twoiego ojca, ani dać schronienia iego wdowie i córce. Dla czego więc pytasz mi się czemu nie mieszkam w domu moim w pośród mojej rodziny?

— Prawda, iż to pytanie było niepotrzebne, kiedy tylu ludzi w zaburzeniach krajowych, musiało porzucić swoje zagrody. Ale czemuż schroniłaś się do nieprzyjacielskiego kraju?

— Moi sąsiedzi byli katolikami, a podobało się Niebu dać mi poznać prawdziwe światło. Zatrzymałam się w té wiosce żeby się przysuchać naukom zanego Henryka Wardena, który wykłada Ewangelię z prostotą serca i samą prawdę ogłasza.

— Czy jesteś ubogą?

— Nikogo nie proszę o iałmużnę,

Milczenie nastąpiło po téy ostatniéy odpowiedzi. Lubo sposób mówienia Magdaleny Groems, nie oznaczałażeby chciała ubliżyć lady Avenel, iednakże nie był bardzo uprzeymym i nie zachęcał do dalszych pytań. Lady Avenel, na nowo wszczęła rozmowę, ale o czém inném.

— Słyszałaś w iakiem niebezpieczenstwie było twoie dziecię?

— Tak iest Milady, i o pomocy którą mu udzielała Opatrzność ratując iego życie. Obyśmy nie przestali składać za to dzięki Niebu!

— Zapewne iesteś iego krewną?

— Jestem iego babką, mnie iedną tylko ma na świecie.

— W twoim położeniu musi ci bydź wielkim ciężarem.

— Przed nikim się na to nie uskarżałam, odpowiedziała Angielka ciągle zachowując twarz oziębłą i niewzruszoną.

— Jeśliby twego wnuka przyjęła iaka szlašhetna rodzina, rzekła lady Avenel,

czyliżby to nie było korzystnym dla ciebie i dla niego?

— Przyiąć mego wnuka! powtórzyła starsza prostując się i marszcząc brwi tak, że ię czoło całe pokraiało się w marszezki; a na co? proszę mi powiedzieć? Czy żeby był pakiem Milady albo lokaiem milorda? żeby sobie z innemi slugami wydzierał resztki ze stołu państwowego? żeby muchy opędzały z twarzy milady gdy spi, nosił ogon ię sukni na przechadzce, podawał talerz przy stole, pędził na koniu przed karetą, szedł za nią kiedy idzie pieszo, śpiewał kiedy iest wesołą, milczał kiedy iest smutną? żeby był takim jak ten kogut na dzwonnicę, który niby pióra ma i skrzydła, ale nie może wylecieć w góre ani ruszyć się z mieysca, do którego iest przymocowany, i obraca się za każdym wiatrem. Kiedy ujrzy, że orzeł Helwelinu, siedzie na wierzy Lanerost i służyć będzie za chorągiewkę, wówczas Roland Groems, będzie tem, czem chcesz, żeby został.

Mówiła z taką szybkością i zapałem; iż zdawało się że ma nie spełna zmysły. Lady Avenel pomyślała, iż to dzieć musi bydź wystawione na wiele niebezpieczeństw z taką dozorcynią, i ta myśl powiększała ieszcze życzenie żeby ie zatrzymać w zamku.

— Mylisz się, łagodnie rzekła.... nie myślę twoiego dziecięcia wziąć do usług; chcę żeby było przy mężu moim. Gdyby nawet był synem hrabiego, nie mógłby w lepszey bydź szkole iak pod takim mistrzem iak iest Sir Albert Glendinnig.

— Tak iest, odpowiedziała Magdalena Groems z gorzkiem uśmiechem... Wiem co zyskuią w podobný służbie; przekleństwo, kiedy się puklerz nie dosyć świeci; uderzenie kiedy pas nie dosyć ściśnięty; wymówki kiedy psy dobrze nie gonią; obelgi kiedy się niè uda wyprawa; trzeba broczyć ręce we krwi zwierząt albo ludzi, podług upodobania pańskiego; zabiać biedne daniele, mordować

istoty stworzone na obraz i podobieństwo Boskie, żyć jakby rozbójnik, znośić zimno i gorąco, cierpieć głód, poddąć się wszystkim umartwieniom pustelnika, nie dla miłości Boga, lecz dla usłużenia szatanowi; umrzeć na szubienicy lub w iakię nędznę utarczce; spędzić życie w zgubnej niedbałości, a wieczność w pożerających płomieniach; taki to los ma go czekać!

— Nie, rzekła lady Avenel, twoje dziecię nie będzie wieść takiego życia. Sir Albert jest sprawiedliwym i dobrym dla tych, którzy służą pod jego chorągwią. A do tego wszakże wiesz, że wnuk twój będzie iść za zbawienną radą i przykładem Henryka Wardena.

Stara angielska zastanowiła się przez chwilę.

— Wspomniałaś, rzekła o iedynej okoliczności która może zmienić moje postanowienie. Muszę wkrótce oddalić się, to moje przyrzeczenie... Nie

mogę pozostać na tém samém mieysen.  
Muszę iśdź daléy... muszę... takie iest  
moje przeznaczenie. Przyrzecz mi że  
będziesz opiekować się tém dziecięciem  
iak twoim własném, dopóki nie przyi-  
dę po nie... a rozłączę się z nim na czas  
nieiaki. Lecz przyrzecz mi nad-  
wszystko że będzie odbierać naukę od  
świętego człowieka, którego Bóg zesłał  
do was żeby rozpościerał prawdziwe  
światło.

— Bądź spokojna, rzekła lady Ave-  
nel, będę miała o nim takie staranie  
iak gdyby moiém własném było dziecię-  
ciem.... Czy chcesz ie zobaczyć?

— Nie, odpowiedziała z stałością Ma-  
gdalena, iuż i tego dosyć że się mam  
z nim rozłączyć. Muszę wykonać to  
co mizlecono. Nie chcę rozwilać ser-  
ca płaczem i próżnym żalem, iak gdy-  
bym nie była powołana do wypełnie-  
nia powinności.

— Może przymiesz cokolwiek na

drogę? rzekła lady Avenel kładąc iéy w rękę kilka sztuk pieniędzy.

Stara rzuciła pieniądze na stół.

— Czy iestem z rodu Kaima, dumna pani, zwołała Magdalena, żebyś mi w zamian moiéy krwi i ciała złoto dawała?

— Daleką byłam od téy myśli, rzekła z słodyczą lady Avenel.... mylisz się; nie iestem ia dumną, niestety! moje nieszczęścia nauczyłyby mnie pokory gdybym iéy zarodów nie miała w sercu.

Stara kobieta przemówiła mniéy surowym głosem.

— Pochodzisz z krwi znakomitý, gdyby nie to, nie byłybyśmy z sobą tak długo rozmawiały. Szlachetna duma, przydała, podnosząc głowę, tak dobrze przystoi znakomitý krwi jak pióra do hełmu. Odbierz milady te sztuki złota; nie potrzebuję pieniędzy. Nie brak mi ich. Nie myślę o sobie, nie troszę się iak i przez ko-

go zaopatrzone będą moje potrzeby.  
Żegnam cię, dotrzymaj twoiego słowa.  
Każ otworzyć bramy, spuścić zwodzono-  
ne mosty, chcę tego wieczora oddalić  
się. Jak wrócę będziesz musiała zdać  
wielki rachunek, gdyż ci powierzam kley-  
not moiego życia. Lecz rzadko zawi-  
ta sen na moie powieki; pożywienie  
nie zasili,mię spoczynek nie pokrzes-  
pi sił moich, dopóki nie uyrzę Rolanda  
Groems. — Żegnam cię raz ieszcze.

— Dobra kobieto, dobra kobieto, rze-  
kła Lilia do odchodzącej Magdaleny  
Groems, ukłoń się przecież milady, po-  
winnaś ię podziękować za ię dobrą.

— Stara kobieta odwróciła się nagle  
do Lili. — Ukłonić się! powtórzyła....  
niech mi się ukłoni sama, a ja oddam  
ię ukłon. I dla czegoż mam się ukło-  
nić, czy dla tego że ma iedwabną su-  
knę, a ja niebieską płocienną? Wiedz  
moja panno że stopień męża nadaje zna-

czenie kobiecie, że ta która idzie za poddanego, gdyby nawet była córką Króla, zawsze iest żoną wieśniaka.

Lilia chciała ią zgromić za tę śmiałkość, lecz ię pani skinęła na nią żeby milczała, i rozkazała odprowadzić ią na drugi brzeg jeziora.

— Na drugi brzeg! zwołała Lilia, po odejściu Magdaleny Groems, lepiej żeby rzucono ią na sam środek, dopiero dowiedzielibyśmy się czy iest czarownicą, i czy prawdę mówi cała wieś Lochside. Nie pojmuję jak mogła milady tak dugo znosić ię zuchwałość.

Wypełniono rozkazy lady Avenel, odprowadzono Magdalenę na drugi brzeg jeziora i zostawiono własnemu losowi. Dotrzymała słowa i niedługo pozostała we wsi, opuściła ią następny nocą po téy rozmowie i nikt nie wieǳiał dokąd się udała. Lady Avenel chciała ieszcze o nię powziąć jaką wiadomość, lecz nic więcej nie mogła się do-

wiedzieć nad to, iż musi bydź wdową po iakim znakomitym członku rodziny Groemes, który osiadł *na gruncie zaprzeczonym*: tak nazwano pograniczne powiaty, które często bywały przedmiotem sporów między Szkocją i Anglią, albowiem zarówno do nich prawo rościły; że Magdalena musiała doznać wielkich nieszczęść podczas napadów które niszczyły ten kraj, i że była wypędzona ze swego domu. Przyszła do téy wsi lecz nikt nie wiedział po co. Jedni ją mieli za czarownicę, drudzy za dewotkę katolicką. Taiemnicza była iéy mowa a o býscie odstręczające, to tylko było można z niéy wyrozumieć że jakiś urok wywierał na nią swój wpływ, lub że musiała dopełniać ślubu: gdyż zawsze mówiła jak gdyby wszechwładna i niezwyciężona siła rządziła iéy czynnościami.

Tych tylko szczegółów dowiedziała się lady Avenel o Magdalenie Groemes: nie zaspokoiły iéy dostatecznie. Lecz w

tych nieszczęśliwych czasach i zmiennych kolejach, mieszkańcy pograniczni, pozbawieni dostatecznych środków obrony, często musieli uciekać ze swoich siedzib. Tak wielka liczba tych ofiar błąkała się po kraju, iż nie mogły wzbudzać ani uwagi ani litości. Otrzymywały oziębłe wsparcie, wycisnięte powszechnym ludzkości uczuciem, żywszem w iednych a słabszem w drugich, z powodu téy myśli, że ten kto dziś miłosierdzie świadczy, jutro może go sam potrzebować będąc. Tak więc ani przybycie Magdaleny w okolice zamku, ani iéy odéýscie, żadnego nie zostawiło wrażenia.

Dziecię, które jak mniémała lady Avanel, opatrznosć powierzyła iéy tak dziwnym sposobem, nagle stało się iéy ulubieńcem. Cóż może bydź naturalniéyszego? Było przedmiotem owego zaintereszenia, bez którego dotąd zamek wydawał się posępniejszém, a samotność

ieszcze smutniéyszą. Dać mu naukę na iaką tylko zdobyć się mogła uprzedzać wszelkie iego potrzeby, czuwać nad niem podczas iego dziecięcych igraszek, było to naymilszēm dla nię zatrudnianiem i rozrywką. W obeeném swoim położeniu gdy nic nie słyszała prócz ryku bydła pasącego się na górach, ciężkiego chodu żołnierza stojącego na straży, i czasem, ostrego śpiewu służącę przy kądzieli, przytomność pięknego dziecięcia, stała się źródłem wzruszeń, i trokliwości trudnych do pojęcia temu, który czynne i pełne przemian życie prowadzi. Młody Roland był dla lady Avenel tém, czém kwiat postawiony na oknie samotnego więzienia, iest dla nieszczęśiowego więźnia który go chodzie, to iest był przedmiotem wymagającém trokliwości i wynagradzającym za nią. Obdarzając swoim przywiązaniem to dziecie, mniemała że mu wdzięczną bydź powinna za to że ią wywiodło z

tego odrętwienia w którym zwyczajnie podezas nieobecności męża zostawała.

Z tém wszystkiém, nowy ten powab nie zdołał oddalić z iéy serca niespo-koyności zrządzonéy tak długą nieprzy-temnością męża. Na krótki czas nim Roland dostał się do zamku, giermek wysłany od Sir Alberta, oznaymił, że ważne sprawy ieszeze go przez czas nieiaki na dworze Holyrood zatrzymają. Epoka iego powrotu, którą posłaniec ten oznaczył, przeszła; znowu po lecie na-stąpiła iesień, po iesieni iuż nadchodziła zima, a Sir Albert nie przebywał.

---

## R O Ź D Z I A Ł III.

Zabrzmiął znany dźwięk trąby, iuż odźwierny skory  
 Słysząc go, spuszcza bramy warowne zapory.  
 Na skrzypiących wrzeciądzach, rozwarł ią z łoskotem,  
 A podwórzec zatętniał końskich kopyt grzmotem.

*Leyden.*

A ty Rolandzie, chciałżebyś zostać  
 żołnierzem, lady Awenel zapytała się  
 dziecięcia, siedząc na ławce kamiennej  
 na wałach zamkowych i widząc jak u-  
 zbroione długim kijem maszerowało ra-  
 zem z wartą i naśladowało ię obroty.

— Tak iest, odpowiedziała chłopczyk,  
 gdyż oswoiwszy się, prędko i śmiało od-  
 powiadał na wszelkie zapytania; tak iest,  
 chcę bydż żołnierzem, bo tylko ten iest  
 szlacheicem kto nosi oręz przy boku.

— Ty chcesz bydż szlacheicem, za-

woałała Lilia, zawsze nieodstępna swéy pani, takiego szlachcica iak ty wykroilabym nożem z kawałka rzepy.

— Nie dokuczay mu Lilio, przekonana iestem że ze słusznego rodu pochodzi. Patrz iak się zarumienił na twoie szydercze słowa.

— Gdyby mi było wolno, rzekła Lilia, po tęgich rózgach ieszczeby się lepię zaczterwienił, i to nie bez przyczyny.

— Ależ w rzeczy samę Lilio, myślałby kto że cię obraziło to biedne dziecię. Czyliż dla tego że ma u mnie łaski, nie pozyskał ich u ciebie?

— Niech Bóg zachowa milady; dosyć długiego służyłam u wielkich panów i wiem iż muszą mieć swoie fantazye, mniemysha czy ich przedmiotem iest kot, ptak albo też dziecko.

Lilia była także faworytką, zepsutą slugą i pozwalała sobie większey poufałości, aniżeli pani zawsze znosić

ią chciała. Lecz lady Avenel często udawała że nie słyszy niemiłych ię postrzeżeń i odpowiedzi: toż samo uczyniła i teraz. Postanowiła więc zymować się dziecięciem, które aż dotąd powierzała staraniom Lilii. Nie podobna, myślała, ażeby nie pochodziło ze szlachetnego rodu. Jakże wątpić o tem, widząc tak zamykające rysy, tak odznaczającą się fizyonomią? Jego charakter dumny i porywczy, pogarda niebezpieczeństw, niecierpliwość gdy mu się kto sprzeciwia, są to wszystko dowody szlachectwa; dziecie pochodzi ze znakomitego rodu; postępowała więc stósownie do tego wniosku. Inni służdy nie tak zazdrośni i nie tak skrupulatni jak Lilia, dla przypodobania się pani, podchlebieli ię urojeniom. Jakoż dziecie przybrało wkrótce ton wyższości, którą obudza ciągłe uleganie. Rzeczy można, iż zrodziło się do rozkazywania, z taką naturalnością przyjmowało dowody u-

ległości i domagało się do niego. Henryk Warden byłby zapewne licznie w tym względzie czynił napomnienia, ale opuścił zamek wkrótce po uratowaniu Rolanda Groems; schizma powstająca w łonie kościoła reformowanego, powiązała go do innego części królestwa.

W takim stanie były rzeczy w zamku Avenelów kiedy dźwięk trąby zabrzmiał na drugiej stronie jeziora, naten znak odpowiedziała natychmiast straż stoiąca na wałach. Lady Avenel pobiegła do okna. Ze trzydziestu konnych jadących nad brzegiem jeziora zbliżało się do grobli. Rycerz był na nich czele, a jego świetna zbroja odbijała promienie słońca. W téy nawet odległości, poznała iego hełm, barwę i gałązkę ostokrzewu zatkniętą na szyszaku, a postawa pełna godności z jaką dojeżdżał ognistego rumaka, oznajmiała Alberta Glendinnig.

Powrót męża wzbudził nayprzód zu-

A. MOL

pełną radość w sercu lady Avenel, ale w tejże chwili przyjęłyka się domniemyta tajemna obawa, czyli nie zgani szczególnych względów, które miały dla przysposobionego dąjenie. Obawa ta, który sam przed sobą nie śmiała wyznać, iuż nie raz stanęła iéy na umyśle i pochodziła ztąd, iż nadzwyczajnie poblażała Rolandowi Groemes, bo Albert był równie dobrym i wyrozumiałym jak stałym i rozsądny i naytkliwiem obchodził się ze swoją małżonką.

— To pewna iż się lękała w téy chwili, ażeby mąż nie zganił iéy postępowania; umyślała dopiero nazajutrz wspomnieć mu o dąjeniu i rozkazała Lilií ażeby ie wyprowadziła z komnaty.

— Nie pójdę, zwołało dąjenie, wiedząc ile dokaże uporem: nie pójdę do brzydkiego izby Lilií. Chę tu zostać i zobaczyć tego walecznego rycerza co z tak szlachetną postacią przejezdza przez most zwodzony.

— Nie zostaniesz Rolandzie, rzekła lady Avenel tonem surowszym iak zwyczajnie.

— Ja chcę zostać, odpowiedziało dziecie, pewne że na swoim postawi.

— Mówisz *ia chce* Rolandzie. Cóż znaczy taka mowa? Powtarzam ci że musisz *odeyśdz*.

— To słowo *Ja chce* odpowiedziało dziecię przystoi mężczyźnie, a słowo *musisz* nie przystoi kobiecie.

— Mały zuchwałecze, zawała lady Avenel. Lilio odprawadź go natychmiast.

— Zawszem się tego spodziewała, rzekła Lilia biorąc dziecię za rękę, że nowy mój pan ustąpić musi dawnemu.

— J ty także zuchwała! rzekła lady Avenel; czyliż was oczarowano że się tak wszysej zapominacie?

Lilia nie nie odpowiedziała i odprawadziła dziecię, które zbyt dumne ażebym miało stawiać nieużyteczny opór,

poszło za nią, spoglądając na dobrą dzięykę swoię, wzrokiem, oznaczającym iż byłoby pogardziło iey władzą gdyby tylko miało siłę po temu.

Lady Avenel z przykrością uczuła ileią ta drobna przeciwność wzruszyła i zmieszała w chwili, kiedy wyłącznie chce oddać się radości którą wzbudza w nię powrót męża. Ale nie dosyć iest dla uspokojenia umysłu naszego, czuć to żeśmy cię wzruszyli bez powodu. Rumieniec gniewu ieszcze ożywiał iey lica, i nie zupełnie ochłonęła, kiedy Albert Glendinnig zdjawszy szyszak, ale ieszcze obciążony zbroią, wszedł do iey komnaty. Jego widok oddalił wszelkie inne myśli, pobiegła ku niemu, uściiskała go z iawnem i szczerem przywiązaniem. Rycerz okazał też same dowody przywiązania, bo chociaż lata uplynione od chwili zamęcia ostudziły ten romansowy zapał, przymiot pierwszej młodości; nie przyniosły uszczerbku

trwalszemu uczuciu, opartemu na szacunku i przyjaźni: oprócz tego długie i częste wyprawy Alberta byłyby nie dozwoliły ażeby obojętność po miłości nastąpiła.

Po tém pierwszem wylaniu czułości, lady Avenel wzrok wlepiając w męża, rzekła.

— Albercie znużyłeś się zbyt długą podróżą, albo też chorowałeś?

— Zdrów byłem Maryo, dosyé zdrów, a wiadomo że długa podróż na koniu nie iest dla mnie rzeczą nadzwyczajną. Ci którzy po oycach odziedziczyli szlachetwo mogą spokoynie w zamkach spoczywać; ale ci którzy ie zdobyli orężem powinni bydż zawsze na koniu i dowodzić że są godni tego zaszczytu.

Gdy to mówił, lady Avenel przenikliwy wzrok wlepiała w niego, iak gdyby chciała czytać w głębi iego duszy gdyż te wyrazy oznaczały smutek i znękanie.

Sir Albert Glendinning, bardzo się zmienił od czasu swojej młodości.

Zapał i żywość młodzieńczęcej dumy ustąpiły mięsca zimnicy i krwi i spokoyności doświadczonego żołnierza i rzecznego statysty. Troski iuż wyryły głębokie ślady na iego szlachetnych rysach, po których każde wzruszenie przechodziło niegdyś tak szybko, jak chmura wiatrem pędzona. Czoło miało hardziej odkryte jak za lat młodych, a czarne włosy które ieszcze pokrywały głowę iego, zeszły ze skroni, nie wysuszone wiekiem ale wytarte ciąglem noszeniem żelaznego szyszaka. Po- dług zwyczaju owocesnego, nosił brodę krótką i gęstą i wąsy zakręcone w góre. Jego lica ogorzałe od słońca i ostrych wiatrów, postradały iuż młodzieńczą świe- żość, ale nosiły znamię czerstwego wieku mężkiego: krótko mówiąc, Albert Glen- dinning wyglądał jak rycerz godzien ażeby szedł po prawej ręce monarchę, nosił iego sztandar na woynie i był ie- go doradcą podczas pokoiu: bo rýsy iego wyrażały tę rozważną sta- łość która oznacza roztrąpność w radzie,

a śmiałość w wykonaniu. A przecież te szlachetne rysy okrywała posępność, któryy może sam nie postrzegał, ale która nie uszła oka czułey i bacznéy małżonki.

— Cóż złego stało się lub stanie? rzekła; bez powodu czoło nie może się zachmurzać. Czyli iakie nieszczęście grozi państwu albo naszemu domowi?

— O niczym takiem nie wiem, odpowiedział Sir Albert, ale wszelkich klęsk może obawiać się państwo będące lądem niezgody.

— Słuszne więc są moje domysły. Lord Murray nie bez przyczyny zatrzymał się tak długo w Holyrood, musiał potrzebować twoiény pomocy do ważnej sprawy,

— Nie powracam z Holyrood Mary; przepędziłem kilka miesięcy za granicą.

— Za granicą! a mnieś o tem nie uwiadomił.

— Na co? czy po to abym cię nieszczęśliwszą uczynił? Za naymniejszym

powiewem wiatru wzruszającego powierzchnią jeziora, wyobrażała byś sobie szaloną burzę na Oceanie niemieckim.

— J w rzeczy samę przebyłeś mōrze! zwołała lady Ayenel, na tę myśl przejęta podziwieniem i trwogą; opuściłeś twój kraj rodzinny, przybiłeś do odległych ziem; gdzie nawet naszego języka nie znają?

— Tak iest, w rzeczy samę, odpowiedział rycerz weselszym tonem i czułe biorąc ją za rękę: dokazałem tego cudu. Trzy dni i trzy nocy przepędziłem na Oceanie, aiego zapienione fale rozchylały się o deskę, która mię od nich oddzielała.

— Za prawdę Albercie, nadużywasz łask Opatrzności. Nie sprzeciwiłam się kiedyś przypisywała pałasz i brał włócznię do ręki, nigdym cię nie namawiała ażebyś pozostał w zamku wtedy, kiedy honor powoływał cię do boju; ale nie dosyćże niebezpieczeństw

miałeś na ziemi, ażebyś ieszcze nara-  
żał się na wściekłość Oceanu?

— Są w Niemezech i w Niderlan-  
dach, ludzie połączeni z nami ogniwem  
też samey wiary, a z niemi wypadało  
nam zawrzeć przymierze. Posłany by-  
łem do nich, w sprawie równie ważnej  
jak tajemnicy. Pojechałem bez trwo-  
gi, wróciłem bez przypadku. Większe  
niebezpieczeństwo zagraża w Holyrood  
niż w Holandji.

— A mieszkańców tego kraju Albercie,  
czyli są tak dobrzy jak nasi Szkołowie?  
Jakże sobie postępują z cudzoziemcami?

— Jest to lud silny w tem, co stanowi  
słabą stronę innych narodów, w bogac-  
twie; a słaby w tem co tamtych potę-  
gę stanowi, w sztuce woyny.

— Nie rozumiem cię Albercie.

— Holender i Flamandczyk Maryo,  
zwracają wszystkie zabiegi do handlu,  
nie myślą o wojnie. Za pieniądze nay-  
mują żołnierzy cudzoziemskich, którzy

biją się za nich. Wznoszą tamy nad brzegiem morza walcząc z niem o swoje ziemię i zaciągając pułki szwajcarów i niemców dla obrony majątku nabyciego przemysłem: tak więc silni są słabością własną, bo też same bogactwa które wzbudzają żądze ich wydarcia, za ich sprawę uzbrajają cudzoziemców.

— Nędzni nikczemnicy! zawałała Marya, myśląc i mówiąc jak Szkołka orego wieku: czyliż rąk swoich nie mogą użyć na obronę rodzinnej ziemii? Kazałabym ie poucinać im po łokcie.

— Byłaby to zbyt surowa sprawiedliwość, odpowiedział Sir Albert, bo jeżeli ich ręce nie dźwigają oręża, jak nasze, w sprawie ojczyzny, niemniej są dla nię użyteczne. Patrz Maryo na te iałowe góry, na tą głęboką dolinę gdzie trzody szukają biednego pastwiska; ręka przemyślnego Flamandczyka, wkrótce by pokryła ie pięknymi lasami i bogate żniwa stworzyłaby na tych mię-

scach gdzie teraz nędznie tylko krzaki widzimy. Z żalem spoglądam na tę ziemię Maryo, kiedy myślę czemuś stać się mogła pod ręką takich ludzi; nie szukających próźnicy chwały w odwiecznym szeregu nazwisk sąsiadów, nie dobrzących się orzem o krwawe laury, nie będących ciemnych cielami i łapieżami ziemni na któryś mieszkając; lecz przeciwnie, troskliwemi o ię piękność i ulepszenie.

— Nie dugo trwałyby te ulepszenia moj kochany Albercie; zasadzone przez siebie drzewa, spaliliby Anglicy, a żniwa sprzątnałby którykolwiek z twoich sąsiadów, mający większą liczbę zbrojnych. Dla czegoż cię to martwi? Przeznaczenie zrobiło cię Szkotem. A twój rozum, serce i ramie: zdola utrzymać chwałę twego imienia.

— Przeznaczenie: odpowiedział Albert, przechadzając się wolnym krokiem: nie dało mi imienia którego bym chwałę u-

trzymywał. Nay pierwszy brałem się do oręza w naszych woynach; zdanie moje objawiałem we wszystkich radach, a nay mądrzéysi poszli za nim. Chytry Le-thington, głęboki polityk Morton, tajemnicie naradzali się ze mną; Grange i Lind-say przyznali, żem na polu bitwy dopełnił obowiązków męskiego rycerza: ale gdy im nie potrzeba mego ramienia i rady, widzą tylko we mnie syna nieznanego wieśniaka z Glendearg.

Lady Avenel zawsze lękała się nadmieniać o tym przedmiocie: tytuł nadany iéy mężowi i względ Murraia, zmienite talenta dowodzące praw iego do tego tytułu i względów, powiększały tylko zazdrość, którą pałano przeciw Sir Albertowi Glendinning, za to, że wszystko winien był osobistéy zaślu-dze i zawsze wystawiano go jako człowieka niskiego i nieznanego rodu. Mi-mo wrodzonéy stałości duszy, nie po-gardzał idealną zaletą, wynikającą z dłu-

giego szeregu przodków, zaletą tak bardzo cenioną od tych wszystkich z którymi miał stosunki. Do nayszlachetnięszego serca mają przystęp takie dziwaczne uniesienia, i nie raz smucił się tém że iego małżonka posiada przywilej wysokiego rodu, którego mu nie dostaie i żałował że całe znaczenie należące się mu jako właścicielowi dóbr Avenel, winien iest iedynie małżeństwu z ich dziedziczką. Nie był tak dalece niesprawiedliwym, ażeby te myśli wzbudzały w nim uczucia niegodne prawego człowieka, ale nasuwały mu się niekiedy, i nie uchodziły przed bacznem okiem iego małżonki.

— Gdyby niebo obdarzyło nas dziećmi, mówiła do siebie, gdyby krew nasza pomięszała się w synu łączącym zalety wysokiego rodu matki, z wielkimi przymiotami i talentami ojca, te przykremyśli ani na chwilę nie zakłóciłyby naszego związku. Ale dziedzic w któ-

rym nasze prawa złączyłyby się tak jak nasza miłość, iest dobrém którego nam niebo odmówiło.

Przy takich uczuciach, dziwić się nie trzeba, że lady Avenel przykro było iż mąż mówił o przedmiocie wzbudzającym ich wzajemne żale. W téy okoliczności, usiłowała iak zawsze, oddalić te przykre myśli.

—Jak możesz, rzekła do niego, rozwodzić żale do niczego nie doprowadzające. Nie masz imienia którego byś chwalał utrzymywała. Co! ty, mężczy w wojnie, roztropny w radzie, nieskażonego postępowania, nie masz utrzymywać na bytý przez ciebie chwały, zaszczytniészéy nad tą którą mógłby ci przekazać długi szereg przodków? Ludzie prawi kochają cię i szanują, złośliwi lękają się i muszą ci bydź posłusznemi: nie powinieneś więc używać wszelkich sposobów, ażeby utrwalić tą życliwość pełną uszanowania, tą zbawienną boiaźń, tą nieuchronną uległość.

Gdy to mówiła, mąż z iéy spojrzeniem czerpał odwagę i rezygnację. Rozjaśniło się iego czoło, a biorąc ią za rękę:

— Przyznaię droga Maryo, rzekł do niéy, że zasłużyłem na te wyrzuty. Zapominając czém iestem, żałuję tego czém bydź nie moge. Jestem dziś tém czém byli nayznamienitsi przodkowie tych którzy mną pogardzają: a zapewne zaszczyniésza iest posiadać przymioty, oznaczające założycieli rodzin, aniżeli po upływie kilku wieków pochodzić od nich. Czémże byli pierwsi wodzowie nayznamitszych domów naszych? Ludźmi, których osobista zasługa i zdolność wywiodła z ukrycia; którzy takich tylko mieli przodków iak ja: bo wiesz Maryo że imie moje wywodzę z rodu starożytnych woiowników; chociaż ostatni ich potomkowie obrali sobie skromne prace rolnicze: a męstwo równym iest udziałem naydalszego potomstwa domu Glendowyn iak naydumniészych ba-

ronów Szkocji. To mówiąc przechodził się po sali, a iego małżonka uśmiechnęła się w duszy, widząc że umysł iego zawsze napełniony jest przywilejami urodzenia i że w téy właśnie chwili gdy z pogardą o nich wspomina, usiłuje dowieść że ma do nich niejakie chociaż dalekie prawa. Jednakże nie okazała bynajmnięż że postrzega tą słabość, bo przez to byłaby dotkliwie obraziła iego dumę.

Gdy powracał z drugiego końca komnaty, gdzie się był zatrzymał żądając dla domu Glendowynów wszelkich przywilejów arystokracji. Ale gdzież jest Wolf zapytał się? jeszcze gomnie wiadziałem, on mię najpierwszy witał zawsze.

— Wolf, rzekła lady Awenel z niejakim pomieszaniem, z którego by sama przed sobą sprawy zdać nie mogła: Wolf jest w téy chwili na łańcuchu. Warewał zawsze i chciał się rzucać na mego pana;

— Wolf na łańcuchu! Wolf chciał się rzucać na pazię! Nikomu Wolf nie zlego nie zrobi; zdziałałby na łańcuchu: Hola! hey! zwołał otwierając okno. Natychmiast spuścić Wolfa.

Wypełniono jego rozkaz, a Wolf u-wolniony przybiegł natychmiast do kościoła i w zbytku radości powrócił kółka, wrzeciona i wszystko co napotkał na drodze. Lilia podnosząc się nie mogła powieśćgnąć się od zwołania, że faworyt pazią również jest nieznośnym iak paź milady.

A który to jest ów paź Maryo? zapytał się rycerz, po drugi raz usłyszawszy wzmiankę o nim. Któź jest ów paź o którym inż drugi raz słyszę i któremu daję pierwszeństwo iak widzę, nad moim starem przyjacielem Wolfem. Jakże dawni przyjęłaś pazię na twoje usługi?

— Pochlebiam sobie mój kochany Albercie, odpowiedziała nieco zarumieniona, iż nie sądzisz aby małżonka

twoia miała do tego mniejsze prawo a-  
niżeli inne kobiety i ey stanu.

— Nie, bez wątpienia Maryo, i sko-  
ro tego pragniesz, to dosyć. Przyznam  
jednakże iż nigdy nie lubilem trzymać  
w domu takich próżniaków. Paż dam-  
ski! Niechay angielskie daimy trzymają  
sobie młodego niewieściucha, któryby  
nosił nogon odsiech sukni; wachlarzem  
chłodził ie gdy spią i brzdąkał na lirze  
kiedy im się podoba: mniéysza o to!  
ale nasze matrony Szkockie nie ulega-  
ły niegdyś takię drobnę próżnośći.  
Młodzież nasza powinna znać iedyne  
włócznię i strzemiona. — Ja też Al-  
bercie żartami tylko nazwałam to dzie-  
cię pažiem. Jest on sierotą; o mało co  
się nie utopił w ieżiorze, uratowaliśmy  
go, i z miłosierdzia od tego czasu za-  
trzymałam go w zamku. Lilio przypro-  
wadź małego Rolanda.

Roland przybiegł do swojej dobro-  
dzięki, uchwycił ją za suknię, a ba-

cznie i boiźliwie wpatrywał się w wspa-  
niałe oblicze rycerza,

— Rolandzie, rzekła lady Awenel,  
pocałuy rękę tego szlachetnego rycerza  
i proś go ażeby ci udzielił swojej o-  
pieki.

Dziecię nie słuchało, a stojąc przy  
lady Awenel wpatrywało się w Alberta.

— Przystąpże do rycerza Rolandzie,  
powtórzyła milady, czegoż się boisz? Po-  
całuy go w rękę.

— Nikogo nie pocałuję w rękę tylko  
ciebie, odpowiedziało dziecię.

— Czyń co ci rozkazuję rzekła: zmień-  
ształ go twój widok mężu, przydała, u-  
siłuając uniewinnić go. Nienprawdaż że  
to jest piękne dziecię?

— Tak jak Wolf pięknym jest psem, od-  
powiedział Sir Halbert, głosząc wier-  
ne zwierzę; ale Wolf ma tą wyższość  
nad twoim nowym ulubieńcem, że słu-  
cha dawanych mu rozkazów, a nie ro-  
zumie pochwałę.

— Teraz postrzegam Albercie żeś iest nie kontent, iakież są tego powody? Czyliż zasłużyłam na naganę wspierając nieszczęśliwą sierotę i kochając lube i godne kochania dziecię? Ale widziałeś się w Edymburgu z panem Warden, on to cię uprzedził przeciw temu biednemu dziecięciu.

— Moia kochana przyjaciołko, Henryk Warden zna dobrze swoie obowiązki i niē będzie mieszać się do naszych interesów. Nie ganię żeś ratowała to dziecię i powzięła do niego przywiązanie. Ale mniemam że zważaiąc na iego urodzenie i los przyszły, nie powinnaś mieć dla niego nieroztropnej czułości z któryey ten tylko skutek wyniknie że nie będzie mógł zastosować się do stanu, w którym się zrodziło.

— Ale Albercie spojrzyy na to dziecię, osądź ieżeli z twarzy iego nie widać iż niebo powoła go do ważniejszych przeznaczeń. Czyliż nie może tak iak dru-

dy, z niskiego stanu wznieść się do... To mówiąc postrzegła iak drażliwéy okoliczności dotyka, postąpiła więc iak zwykle czynią i to naygorzéy, zacięła się nagle w środku peryodu. Żywy rumieniec wystąpił na iéy twarz, oblicze Alberta zaczernieniało się mocniéy, lecz tylko na chwilę; bo nie mylił się względem zamiarów swéy małżonki i nie przypuszczał bynajmniéy że przykro dla niego zastosowanie miała na myśli.

— Jak ci się podoba moje serce, rzekł do niego: nie będą ci sprzeciwiać się w czémkolwiek bądź, co tylko może uprzyjemnić twoię tak częstą i długą samotność. Zrób z tém dziecięciem co ci się podoba. Ale pomniy że na tobie nie na mnie, polega ten obowiązek. Pomniy, że ma ręce dla użytku ludzi, a duszę dla uwielbienia Stwórcy; wychowaj go więc w ten sposób, ażeby wiernym było swemu panu i niebu z resztą rozrządzay nim iak ci się podoba. Do ciebie należy.

Rozmowa ta, rozstrzynęła los Rolanda Groemes. Od tego czasu, rycerz Awenel wecale na niego nie zważał, a milady psuła go niezmiernem pobłędzeniem.

Z dwóch tych okoliczności ważne skutki wynikły, wykazały one w całym świetle charakter dziecięcia. Rycerz, jak się zdawało, postanowił sam w sobie, nie mieszać się wecale do ulubieńca swéy małżonki i młody Roland nie został poddany téy surowéy karności, który w duchu czasu, ulegać musiał każdy, kto zostawał w służbie pana Szkoekiego. Sam nawet intendent czyli marszałek domu, gdyż pierwszy ze sług każdego małego barona (rościł sobie prawo do tego tytułu) nie uznał za rzecz właściwą, rozkazywać pažowi milady, pani, która dobra Awenel wniosła do familii Glendinnig. Jasper Wингate był doświadczonym dworakiem, chlubił się ze znajomości świata i umiał płynąć pod wiatr i pod wodę.

Roztropny ten człowiek na wiele rze-  
czy patrzał przez szpary, nie skarżył się  
na Rolanda i tego tylko wymagał po  
nim, co tenże gotów był uskutecznić bez  
oporu. Wnosił trafnie, że lubo ten młod-  
zieniec nie był w łaskach u pana, ie-  
dnakże skarżąc się na niego, zniechęciłby  
przeciw sobie panię bez przypodoba-  
nia się rycerzowi. Z tych względów, o-  
raz ażeby sobie nie użycznął pracy  
nie zadawać, nie wyznaczył Rolandowi  
żadną stałę czynności, dozwolił mu  
czas przepędzać jak sam zechce, a ie-  
żeli w przypadku dał mu coś do roboty,  
zawsze gotów był do słuchania wszelkich  
wymówek iakiemi tylko chłopiec unie-  
winnić chciała swoje gnuśność. Każdy  
naśladował postępowanie marszałka.

— Roland Groemes żadný nad sobą nie  
miał władzy i tych tylko wiadomości na-  
bywał których czynna dusza i bystre po-  
jęcie nauczy się bez niczyjey pomocy.

Względy milady zrządziły że ludzie z

orszaku i ey męża nie bardzo chętniem o-  
kiem spoglądali na Rolanda. Wielu z  
nich było iego rówieśnikami, z tegoż  
samego pochodziło stanu i zostało  
pod starożytną i surową karnością. Był  
więc dla nich celem zazdrości a zatem i  
nienawiści, ale nigdy nim pogardzać  
nie mogli. Szlachetna duma wcześnie  
się w nim rozwinęła, i to zdziałała u  
niego, co u innych surowość połączona  
z ciągłemi naukami. Posiadał te wcze-  
sną giętkość, która sprawia, że ćwiczenia  
ciała i umysłu stają się raczey zabawą a-  
niżeli nauką i zdawało się że przypad-  
kiem nabywa talentów, które w innych  
zaledwie wpoić można za pomocą cią-  
gły usilności, nagany, a niekiedy i ka-  
ry. Tak doskonale nauczył się ćwi-  
czeń wojskowych i wszystkiego czego  
wówczas uczeno młodzień, iż zadzi-  
wiał wszystkich, którzy nie poymowali że  
gorejący entuzyam częstokroć zastępuje  
naukę:

Młodzieńcy których regularnie uczono robienia bronią, ieżdżenia na koniu i innych wiadomości upowszechnionych w owym czasie, chociaż zazdrościli Rolandowi jego swobody i zaniedbania, nie mogli się jednak poszycić wyższością nad nim. Kilka godzin pracy i silna wola, więcej i lepiej go usposobiły, aniżeli drugich kilkanaście tygodni regularnej nauki.

Z takiemi to zaletami, ieżeli im to nazwisko dać można, zaczął rozwijać się charakter Rolanda. Był śmiały, samowolny, prędkim, wspaniałomyślnym ieżeli mu się nie sprzeciwiano, gwałtownym ieżeli stawiano opór iego woli, uważały się za nie zależącego od nikogo, procz pani swojej, i stopniami pozyskał nad nią ten wpływ, iaki jest wyczynnym skutkiem zbytecznego pozbłażania.

Chociaż ludzie z orszaku Sir Alberta zazdrośniem okiem na ten wpływ spoglą-

ji i chwytali każdą sposobność ukara-  
nia jego próźności, byli i tacy którzy  
pochlebiejąc iéy faworytowi, usiłowali  
pozyskać wzgłydy lady Avenel, bo cho-  
ciaż faworyt nie ma przyjaciela, iak mó-  
wi poeta, nie brak mu na stronnikach i  
podchlebach. Roland Groemes naywię-  
cęy miał ich pomiędzy mieszkańcówami  
wioski leżącej nad jeziorem. Ci wie-  
śniacy, nie raz porównywając swój stan  
ze stanem ludzi, którzy należą do usług  
bezpośrednich rycerza, ciągle towarzyszy-  
li mu w podrózach do Edymburga albo  
gdzieindzięy, uważali się raczę za len-  
ników samęy lady Avenel, aniżeli iéy  
męża. To prawda, że iéy stałe przywiązanie  
do sir Alberta, nie powinno było dać pobu-  
dek do tego różróżnienia, lecz wieśnia-  
cy, mimo tego sądzili, że iest przyjemną  
rzeczą bydż celem szczególnego uszano-  
wania i hołdu, a przynajmnię postępo-  
wali zgodnie z tem zdaniem i przez usza-  
nowanie dla faworyta córki swoich da-

wnych panów, usiłowali okazywać ię swoie uczucia. Okoliczność ta podała Rolandowi sposobność utworzenia sobie niejakiego stronnictwa w baronii, i powiększyła ieszcze porywcość, śmiałość i niehamowność iego charakteru. Wolf i Henryk Warden, byli to dwaj mieszkańcy domu, co naypierw okazali Rolandowi niechęć i zazdrość swoię. Wolf powoli odstąpił od uprzedzeń powziętych przeciw temu, któremu życie ocalił, i za czasem połączycył się z Branem, Luatem i innemi psami, wsławionemi w starożytnej historyi kraiovéy. Ale Warden przeżył go i dotrwał w niechęci. Zacy ten człowiek, chociaż dobrośliwy i tchnący chrześcijańską prostotą, może nazbyt wielkie tworzył sobie wyobrażenie o należącém się dla niego uszanowaniu, iako dla Kapłana Ewangelii, i wymagał od mieszkańców, większy uległości, nad tą, którą młody paź, dumny

względami swoiéy pani i z natury wyniosły, cheiał mu okazywać. Śmiały i nie uległy ton Rolanda, iego upodobanie w stroiach, niechęć do nauki, niezważanie na iego przestrogi: wszystkie te okoliczności skłaniały starca, bardziéy powodującego się gorliwością, aniżeli wyrozumieniem, iż go wskazywał iako naczynie nieprawości, i przepowiadał, że duma i wyniosłość przywiodą go do upadku i potępienia. Prawie wszyscy słudzy przywiązani do sir Alberta Glendinnyg, podzielali to mniemanie; ale ponieważ Roland posiadał wzgłydy lady Awenel, a iéy mąż nigdy się na niego nie obruszał, każdy był taki ostrożnym, iż zdania swego nie wyiawiał.

Młodzieńiec ten, czuł wiak przykrem iest położeniu, lecz ieżeli w domu swoich panów, doznawał saméy tylko oboiętności i pogardy, mścił się, przybierając wzgledem innych służących ton

wyższości, który na yuporczywszych do uległości zmuszał, a ieżeli go nie na widzili, to przynamnię obawiać się musieli.

Niechęć Wardena dla Rolanda Groemes, zjednała mu wzgłydy w umyśle Edwarda Glendinning brata sir Alberta, który teraz pod imieniem oyca Ambrożego, należała do małej liczby zakonników pozostających w opactwie Stéy Maryi z Kennaquhair z opatem Eustachim. Uszanowanie, które miano dla sir Alberta, sprawiło, że ich nie wypędzono z klasztoru, chociaż zakon ich był iuż zupełnie prawie zniesiony. — Zabroniono im jawnego wykonywania obrzędów ich wiary, wydarto im ich dobra i wszelkie dochody. Pozostała im tylko szczupła pensja. Oycie Ambroży, niekiedy chociaż bardzo rzadko, przychodził do zamku, i uważano, że szczególny zajmował się Rolandem, i że młodzieniec powziął

dla niego przywiązanie, którego dotąd nie okazywał nikomu.

Tak upłynęło lat kilka, podczas których rycerz Awenel często ważną grał rolę w zaburzeniach nieszczęśliwego swojej ojczyzny; młody zaś Groemes, coraz nowych bez pracy nabuwając talentów, wzdychał do wieku, w którymby mógł wyniść z niskiego i nieznanego stanu.

## ROŽDZIAŁ VI.

Gdy liczne krążą kielichy  
 Młody hrabia pełen pychy,  
 Szydercze rzucał pociski  
 Na ród młodzieńca nieznany i niski.

*Walenty i Orson.*

Roland Groemes kończył już rok siedemnasty, gdy pewnego poranku w lecie, poszedł do sokolarni sir Alberta Glendinning, ażeby przekonać się czy mają staranie o młodym sokole, którego sam schwytał w gnieździe narażając się na złamanie karku na pobliskiej skale zwanéy Gledsraig. Nie kontent z obchodzenia się z ptakiem, żaiać zaczął syna sokolnika któremu tę robotę powierzył.

— Co nędzniku! zawałał, także to dajesz moiemu sokołowi nie płukane mięso iakby nikczemnemu krukowi? Od dwóch dni nie dałeś mu iego paściwy. Czy myślisz żem go po to schwytał na skale, ażebyś go popsuł twoim niedbalstwem? Jażeby większą nadać wagę téy naganie, dołączył do niéy parę policzków, a niedbały dozieracz sokołów, zaczął wrzeszczeć głośniej aniżeli było warto.

Adam Woodcock sokolnik zamkowy, był rodem Anglik ale tak długo służył u Glendinninga iż więcej sprzyiał swemu panu aniżeli ziemi oyczystej. Był dumnym ze swojej umiejętności, a przytem żartownisem i poetą, co nie umniejszyło w nim dobrego o sobie mniemania. Przy tem lubił spotkać się z butelką, zazrzał w oczy każdemu, wierny był panu i rachował na swoje wziętość u niego.

Adamowi Woodcock, nie podobało się

więc, że Roland uderzył iego syna.  
 — Hola! hola! mój piekny paziu za-  
 wołał zasłaniając chłopca, nie tak  
 żwawo, i lubo nosisz haftowaną kami-  
 zelkę nie machaj tak rękoma. Jeżeli  
 mój chłopak co zbroił, potrafię go sam  
 ukarać bez ciebie.

— Wybilię was obu, odpowiedziała  
 zuchwały Roland, jeżeli nie będącie  
 lepię pilnować waszey powinności.  
 W piękne ręce oddałem sokoła! zsze-  
 dłem tego nygusa iak mu dawał mięso  
 nie płukane (1).

— A który cię nauczył wychowywać  
 sokoły, mój młody paziu? Powiadam  
 ci że w tenczas dopiero płukać należy  
 mięso dawane młodym sokołom, kiedy  
 iuż latać mogą. Ktoby to wcześnię  
 czynił, nabawiłby ptaka choroby dzio-  
 ba i każdy wie o tem kto tylko potrafi  
 sokoła od krogulec rozróżnić.

---

(1) Znawcy nie zgadzają się kiedy trzeba zacząć  
 płukać mięso dawane młodym sokołom.

— Twoie to lenistwo iest tego przyczyną, psie Angliku! zawałał Roland nie słuchając go, piiesz tylko i spisz, a całą robotę zdajesz na tego próżniaka który tyle dba o nią co i ty.

— A! iestem więc leniwcem rzekł sokolnik, ja co mam trzy pary sokołów do hodowania, nie mówiąc o tych które już trzeba wprawiać do lotu. I paż to damski tak iest pilnym że mię na próżnowaniu znachołzi! I iestem psem Anglikiem! A czemże ty sam iestes? Ani Anglikiem ani Szkotem, ani zwierzem ani rybą; bękartem ze spornego kraju, bez rodziców, bez pokrewnych, nędznym dudkiem udającym się za sokoła.

Za odpowiedź na te obelgi Roland wyciął mu tak silny policzek, iż sokolnik upadł na ziemię. Adam Woodcock porwał się natychmiast, a schwyciwszy kiy, chciał pomścić się za tę zniewagę, gdyb' Roland Groemes wydobywszy

puginał zaprzysiągł się na wszystko co iest nayświętszem w swiecie że ieżeli się go dotknie, życiem przypłaci. Wielka wrzawa powstała, zbiegli się słudzy, a między innemi i marszałek, poważna figura o który oznaczał złoty łańcuch i biała laska, Za przybyciem tego dygnitarza, uspokoiła się kłótnia; a pan marszałek korzystając z téj pory, napomniał Rolanda za nieprzyzwoite postępowanie z towarzyszami i zapewnił go że, gdyby doniósł o tem, panu który nie obecnym był w téj chwili aleco dzień spodziewał się iego przybycia, nie długoby gościł w zamku. Ztem wszystkiem, przydał, doniosł o tem milady.

— To dobrze! to dobrze panie Wingate, zwołało kilkanaście głosów. Niechay milady powie czy w domu porządnym i gdzie panuie boiaźń Bóża, można za jedno słowo brać się do sztyletu.

Roland, cel powszechnéy nienawiści, gniewném okiem rzucił w około siebie, a ledwie mogąc wstrzymać się od gwałtownéy i pogardliwéy odpowiedzi, dumnie spojrzał na zgromadzonych służących, sztylet włożył do pochwy, obrócił się, popchnął tych którzy byli naybliżsi drzwi i wyszedł z sokolarni.

— Nie na tém ia drzewie uwiię moie gniazdo, rzekł sokolnik, ieżeli ten szpak wyżéy ma na nim siadać iak drudzy.

— Uderzył mię szpicutą, rzekł uieždżacz, za to, że ogon klaczy nie był wyczesany podług iego widzi mi się.

— I zaręczam, rzekła praczka, że wymyśla od ostatnich słów ieżeli przypadkiem zobaczy plamę na kołnierzu od swoiéy koszuli.

Z narady téy wynikło, że pan Wингate powinien zdać rapport Milady,

bo inaczéy nie będzie można wytrzymać z Rolandem Groemes.

Marszałek wysłuchał ich w milczeniu, a skinąwszy na nich żeby zamilkli, odezwał się z wszelką powagą odpowiednią iego urzędowi.

— Mości panowie rzekł, i was nie pomijając moście panie, zle nie sądzcie o mnie, ieżeli z większą ostrożnością aniżeli pośpiechem postąpię sobie w té sprawie. Nasz pan, zacnym iest rycerzem, powinien rozkazywać za domem i w domu, na polach i w lasach, w salońach i w stajniach, iak mówią. Nasza pani, niechay ię Bóg pobłogosławi iest szlachetna dama z zacnéy familii, prawa dziedziczka tego zamku i włości. Lubi także postawić na swoim, a pokaźcie mi kobietę któryaby inaczéy myślała. Otóż broniła zwłaszcza i bronić będzie tego przeklętego pazia. Dla czego? Tego nie wiem.

Ale iak widzimy iż wielkie damy polubią gadatliwą papugę albo brzydką małpę, tak ona polubiła tego utrapionego pasia, za to tylko, że go kazała wyratować z wody, a nie byłoby wielkim nieszcześciem gdyby się utopił.

— Kto ma wisić nie utonie, odpowiedział sokolnik, a ieżeli nie powieszą go jako złodzieia i zabójcę, niechay nigdy nie zakapturzę sokoła.

— Milez Adamie Woodcock! milez, odpowiedział Wingate, wyciągając rękę. Otóż iak więcie moi panowie, milady nabiła sobie głowę tym łotrem i różni się w tém od naszego pana, któryby za iego skórę i grosza nie dał; ale czyliż przystoi mnie marszałkowi domu, podniecać między niemi niezgodę i kłaśdz, iak to mówią, palec między drzwi, za młodego smyka, którego bym iednak chciał biczami wypędzić z baronstwa. Bądźmy cierpliwi, a wszystko zrobi się i bez nas. Osiwiałem na

służbie dworskiéy, a nigdy nie widziałem ażeby słuđe wyszło na dobre to, że obstawał za panią przeciw panu, ale widziałem iż zawsze zgubił się ten kto obstawał za panem przeciw pani.

— Tak więc, rzekła Lilia, my wszyscy, mężczyźni i kobiety, koguty i kury, musiemy ulegać temu przeklętemu paziowi, który wyżey jak my noszadziera. Co do mnie, nauczę go mores, ręczę za to. Spodziewam się pannie Wingatę, że obok całego roztropności twoiény, raczysz opowiedzieć milady, co się dzisiaj stało, ieżeli ci rozkaże.

— Mówić prawdę, kiedy milady chce tego, odpowiedziała roztropny marszałek, iest w pewnym względzie obowiązkiem moim, bylebym tylko mógł ią powiedzieć bez narażenia bądź to siebie, bądź którego z moich towarzyszów, bo ięzyk iest obosiecznym narzędziem i ostróżnie używać go należy.

— Ale ten przeklęty paź nie iest two-

im towarzyszem, zwołała Lilia, i pochlebiam sobie że go nie będziesz bronił przeciw nam wszystkim.

— Wierz mi pani Lilio, że gdybym tylko upatrzył sposobną chwilę, przysłużyłbym się mu należycie.

— Dosyć na tém panie Wingate, wkrótce wyśpiewasz twoię piosneczkę, a ieżeli moja pani nie zwoła cię za kwadrans, nie będzie kobietą, a ia nie będę się nazywać Lilią Brandburne.

Stosownie do swego planu, Lilia nie omieszczała przybrać w obec pani minę osoby, ważny sekret posiadającę, oczy powłóczyła po ścianach, ścisnęła usta, tak iak gdyby ie zaszyć chciała dla zapobieżenia wszelkię chętę do gadatliwości, i cała iéy tajemnicza postać wyrażała: „Wiem pewną tajemnicę, lecz postanowiłam zamileczyć o nięy.”

Lilia dobrze oceniła charakter swoię pani, Lady Awenel iakkolwiek roztropna i dobra, jednakże była godną

ćórką naszey matki Ewy, i skoro tylko postrzegła tajemniczą minę garderobiany, zapragnęła wiedzieć iéy pobudki. Przez kilka chwil Lilia nie chciała mówić, wzdychała, mruczała kilka słów po eichu, i wznosiła oczy ku niebu; mówiła że nic nie wié, i spodziewa się, iż z tąd nie złego nie wyniknie. Wszystko to ieszcze bardziéy podżegało ciekawość lady Awenel, mocniéy więc nalegała na Lilię.

— Bogu dzięki, rzekła Lilia nie jestem donosicielką; nikogo nie obgadalam Bogu dzięki; nikomu nie zazdroszę. Z resztą za łaską bożą do tąd krwi nie przelano.

— Krwi nie przelano! zawałała lady Awenel, cóż to ma znaczyć Lilio? mów natychmiast, bo...

— Dobrze więc milady, zawałała Lilia: tego tylko pragnąc ażeby ią przymuszoną do mówienia: ponieważ mi pani rozkazuie, powiem prawdę, lecz jeżeli będzie niemiła, pamiętaj pani żeś

tego sama żądała. Roland Groemes, dobył sztyletu na Adama Woodcock i...

— O nieba! zawała lady Awenel, czyliż go zranił?

— Nie, Bogu dzięki, ale byłby go zabił gdyby nie byli przybiegli na pomoc biednemu sokolnikowi. Z resztą może to iest z wolą pani, ażeby młody paź dokazywał teraz z puginałem, jak dotąd dokazywał ze szpicrutą i z kiiem.

— Oddał się zuchwała i powiedz aby intendent natychmiast przyszedł do mnie.

Lilia nie słuchała aż iéy powtórzy ten rozkaz, pobiegła po Wingata, przyprowadziła go do pani, każąc mu iść przedzéy aniżeli byłby to uczynił ostróžny intendent, i mówiła do niego: „Przywiązałam Rolandowi kamień do szyi, do ciebie należy ściągnąć węzeł tak, aby się nie wyśliznął.”

Roztropny intendent nie wyrwał się ze słowkiem, lecz tylko skinął

na znak porozumienia i stanął przed obliczem pani swojej, z oznakami uszczelnowania, po części prawdziwego, po części udawanego, oraz z ufnością wskazującą dobre o sobie mniemanie.

— Cóż to mi powiedziano, panie Wingate? zapytała się lady Awenel: takimże to sposobem utrzymujesz porządek w zamku? Cierpisz ażeby służby sir Alberta Glendinning porywali się do oręza iedni przeciw drugim iak gdyby znaydowali się w iaskini łotrów? Jestżeś pewnym że Woodcock nie został zranionym, i cóż się stało z tym nieszczęśliwym młodzieńcem?

— Wprawdzie milady, nikt z dwóch ludzi ieszcze nie został zranionym, odpowiedział człowiek ze złotym łańcuchem, ale nie wiem ilu będzie zabitych od dzisięszego dnia do wielkiej nocy, ieżeli kto nie uskromi tego młodzieńca. Prawda, że to jest przystojny młodzieńiec, przydał i bardzo

zręczny w żołnierskich ćwiczeniach, ale za nadto żwawo rwie się do rązów, do spieruty i do sztyletu.

— A który temu winien panie Wингate? Czyliżeś nie powinien był nauczyć go iak ma przyzwoicie postępować i nie zakłócać spokoyności w zamku?

— Jeżeli milady chce ażebym odpowidał za to, powiniensem bez wątpienia uledz ięy woli; ale proszę ażeby raczyła zważyć, że ieżli nie zagwoźdzę w pochwie iego sztyletu, nic nie przeszkodzi mu, ażeby go nie wydobywał, iak nie nie potrafi ustalić żywego srebra, czego Raymund Lulle z całą umiejętnością swoją nie mógł dokazać.

— Co mi tam do twoiego Raymunda Lulle! zwołała zniecierpliwiona lady Awenel. Wszyscy staiecie się za bardzo uczonemi dla mnie, podczas długiey i częstej nieobecności pana waszego. Dałby Bóg, aby iego inten-

ressa dozwalały mu przebywać w zamku własnym, nie tyle byłoby nieka-  
du.

— Niechay Bóg zachowa milady, a-  
żebyś rzeczywiście myślała tak jak mó-  
wisz. Twoi starzy słudzy mają prawo  
do spodziewania się, że gdy przez ty-  
le lat dopełniali obowiązków swoich,  
oddasz im sprawiedliwość i nie prze-  
staniesz ufać ich siwym włosom, dla  
tego, że nie mogą strawić zuchwałstwa  
młodego smyka, który, prawdę mu-  
szę powiedzieć, za nadto sobie pozwala.

— Odéydź, codzień spodziewam się  
sir Alberta. Za powrotem, sam wda-  
się w tę sprawę. Jdź Wingate, przy-  
dała tonem łagodniejszym i powiedz  
panu Warden że chcę się z nim wi-  
dzićć. Wiem żeś iest dobrym sługą:  
wierzę iż młodzieniec iest za prędki,  
ale nie mogę wstrzymać się od mnie-  
mania, żeście się wszyscy przeciw nie-

mu spiknęli, dla tego że się nim o-  
piekuię.

Jtendent usiłował wytłumaczyć się  
dla iakich pobudek działa, ale iego  
pani kazała mu aby milczał; oddalił  
się więc, złożywszy iey ukłon pełen  
uszanowania.

Henryk Warden przyszedł, ale za-  
miast pocieszania lady Awenel, przy-  
pisał iey zbytecznemu pobłażaniu,  
wszystkie zamieszki które burzliwy cha-  
rakter Rolanda iuż zrządził i ieszcze  
w zamku zrządzić może. — Przykro  
mi iest zacna damo, rzekł do niény, żeś  
od początku nie raczyła słuchać rad  
moich. Łatwo kierować bieg stru-  
mienia przy źródle, ale gdy iuż się  
stanie potokiem, trudno z nim wal-  
czyć. Pamiętaj że to wbrów moim  
przestrogom, moiemu wyraźnemu zda-  
niu, podobało ci się wznieść tego mło-  
dzieńca tak wysoko żeś go aż przybli-  
żyła do twego stopnia.

— Cóż przez to rozumiesz kochany Wardenie? Młodzieńca tego uczyniłam tylko pakiem, czyliż przez to ubliżyłam honorowi moiemu i godności?

— Tego nie mówię milady. Przez dobroczynność przyjęłaś opiekę nad tém dziecięciem i nie przeczę, żeś miała prawo nadać mu ten dziecienny tytuł pazia, lubo chłopiec wychowany na usługach kobiety, może wyjdź tylko na trzpiota lub niewieściucha, na zuchwalca i zarozumiałego, a podług mego zdania tego tylko można się ponim spodziewać. Lecz bardzię mam ci za złe, żeś nie starała się zachować go od niebezpieczeństw, któreiego otaczałaś, żeś nie pamiętała uskromić i uniżyć iego umysłu, z natury nakazującego i dumnego. Wpuściłaś lewka do twoego zamku, uwielbiałaś piękność iego grzywy, składność poruszeń, a zapomniałaś okuć go w łańcuchy, iak

tego wymaga srogość iego charakteru. Dozwoliłaś ażeby rosł tak swobodnie jak w puszczy. A teraz kiedy pokazuje zęby, kiedy kąsa, kiedy rozdziera, jak do tego z natury iest przeznaczony, dziwisz się i wołasz ratunku.

—Dobry Wardenie, rzekła lady Awenel nieco dotknięta, iesteś starym przyjacielem męża moiego i wierzę szczerości twoego przywiązania do niego i do wszystkiego co do niego należy, ale dozwól niechay ci powiem, że gdym cię prosiła o radę, nie spodziewałam się tak przykrych wyrzułów. Jeżelim zbłądziła, kochając tę sierotę mocnię i niżeli inne dzieci w témże samém zostaję położeniu, wątpię ażeby ten błąd zasługiwał na tak surową naganę. Jeżeli burzliwy iego charakter wymagał ostrzéjszego postępowania, zdaie mi się żeś powinien był pomyśleć że iestem kobietą, żem się mimo

woli moiéy zmyliła, że obowiązkiem przyjaciela iest, wskazać mi iaką drogą iśdż powinnam, nie zaś wyrzucać mi żem się obłakała. Chciałabym żeby przed powrotem męża moiego, porządek przywrócony został w zamku. Nie miło mi iest że niezgoda iatrzy iego służących i przykroby mi było, gdyby mniemał, że młodzieniec którym się opiekowałam, stał sięliéy powodem. Cóż mi radzisz?

— Oddalić tego młodzieńca z two-  
go domu.

— Nie możesz doradzać mi tego; iako chrześcianin, iako przyjaciel ludzkości, nie możesz mi doradzać, ażebym oddaliła z mego domu sierotę, który we mnie ma iedyną opiekunkę, któremu opieka moia, może nie baczna iak twierdzisz, tylu zjednała nieprzyjaciół.

— Nie mówię tego, ażebyś go ze wszystkiém opuściła; możesz wyszukać mu inne mieysce, przyzwoitsze do

iego stanu i urodzenia. Gdzieindzięy może stać się użytecznym członkiem społeczeństwa, tutay iest tylko podnieią niezgody. Młodzieniec okazuje trafny i poiętny umysł, chociaż mu brak pilności. Dam mu list polecający do Olearyusza Schinderhauzen, uczonego professora w Leydzie, który potrzebuje podnauczyciela. Tam, oprócz bezpłatnego pobierania nauk, z których korzystać będzie mógł, ieżeli Bóg spuści swoię łaskę na niego, dostanie pięć grzywien zasług rocznych, nie licząc sukien po profesorze, który nie nosi ich dłużęy iak dwa lata.

— Mieysce to nie będzie dla niego stósowném: odpowiedziała lady Awenel, ledwie mogąc powściągnąć się od uśmiechu; innym razem spokoynie zastanowimy się nad tą rzeczą. Tym czasem, proszę cię, napomni my moich ludzi, ażeby hamowali nienawiść i zazdrość, i day im uczuć, że ich obowiązki względem Bo-

ga, i uszanowanie należne państwu, zabraniaią tak niebezpiecznych namiętności.

— Zadosyć uczynię woli twojej milady, w przyszły czwartek powiem o tem naukę. Walczyć będę z szatanem gwałtu i wściekłości, który moje trzęsie ogarnął, i pochlebiam sobie, że za pomocą Bożą, będę tym psem czynnym który wilka z owczarni wypędza.

Koniec téy rozmowy, naylepię podobał się Henrykowi Warden; kazalnica tak wielki wpływ wywierała na umysły w owych czasach, iak późnię druk; a Warden iak to iuż wiemy, wślawił się kaznodzieystwem. Złąd wynikło, że o wymowie swojej niezmiernie miał wyobrażenie, i iak wielu z iego współbraci w owym czasie, z radością korzystał z każdej sposobności mówienia. W tym grubym wieku, nie znano téy delikatności zabraniającej wszelkich osobistych zastosowań, a iak

kaznodzieia dworski nie raz do samego króla przemawiał z kazalnicy i wskażywał mu iak ma prowadzić sprawy państwa: tak i iałmużnik barona czynił mu w oczy i bez ogródki, w kaplicy iego własnego zamku, wszelkie zarzuty na iakie zasłużył.

Kazanie, za którego pośrednictwem Henryk Warden pochlebiał sobie, że przywróci pokój w zamku Awenel, miało za text te słowa: *Kto mieczem uderza, od miecza zginie.* Była to osobliwsza mieszanina pedantyzmu i zdrowego rozsądku, prawdziwéy wymowy i złego smaku. Obszernie rozwodził się nad tym wyrazem *uderzać*, nauczając swoich słuchaczów, że trzeba przez to rozumieć ciosy zadawane sztychem lub ostrzem, włócznią, strzałą, muszkiem, a w powszechności wszelkim zabójczém narzędziem. Dowódź także, iż wyraz *miecz*, powinien ściągać się do szpady, rapira, pałasza i kosy. Ale,

mówił dalej mocniejszym tonem, ieżeli pismo święte rzuca klątwę na każdego, kto uderza jednym z tych orężów wyinalezionych do iawnego woyny, tem bardziej potępia używanie tych narzędzi, które, wnosząc z ich kształtu i małości, wynaleziono do zdradzieckich morderstw, nie zaś do uderzania na nieprzyjaciela gotowego stawić odpór. W té liczbie: przydał, wlepiając wzrok w Rolanda Groemes, który siedział na podusze przy nogach pani swojej, i miał zatknięty za pasem sztylet z wyzłacaną rękopisnią: w té liczbie obejmuję szczególnie, to narzędzie śmierci, noszone za czasów naszych nietylko przez rzemieszków i rozbójników, dla których wyłącznie przeznaczonem bydź powinno, ale nawet przez młodzieńców zostających na usłudze zacnych dam i woiuiących tylko w ich przedpokoju. Tak jest moi bracia, zgubny ten orąż, który musi bydź dziełem złego ducha, ob-

jęły iest w ogólnym wyrazie miecz, mniejsza czy to iest sztylet, któryśmy przeieli od zdradzieckiego włocha, czy puginał obosieczny, iaki noszą dzicy górale; albo nóż myśliwski, iaki widzimy zawieszony u pasa naszych włóczęgów nadgranicznych; albo też krótka szpada, narzędzie wynalezione przez samego szatana, aby zgubnieysze i trudnieysze do odbicia ciosy zadawać. Nawet i najemny siepacz wstydzi się używać tego narzędzia zdrady, nie przyzwoitego ani żołnierzowi, ani mężczyźnie, ale będącego ulubioną bronią tych istot, które przepędzając życie na usługach kobiet, zamieniają się w zniewieściałych hermafrodytów, a do wad i namiętności iedný płci, łączą zdradziectwo i podłość drugiéy.

Nie podobna opisać wrażenia, które mowa ta uczyniła na obecnych w kaplicy. Lady Awenel, iak się zdawało, była pomieszana i obrażona; służbzy pod pozorem głębokię uwagi, zaledwie

ukryć mogli radość swoię, słysząc iak Henryk Warden rzucał gromy wymowy na faworyta, będącego celem powszechnéy niechęci; Lilia zadzierała głowę z całą dumą zadowolnioney nieawniści; Wingate zaś, przestrzegając ścisłey neutralności, wlepił oczy w starą tarczę herbowną, zawieszoną na murze i niby troskliwie iey przypatrywał się, bo zapewne wolał zasłużyć na wyrzut, że nieuwaznie słucha kazania, aniżeli z wyraźnym upodobaniem słuchać tego, co tak mocno panią iego dotycza.

Młodzieniec przeciw któremu Warden wymierzył swoie kazanie, nie nawykły ieszcze do poskramiania namiętności, nie mógł utaić iaka wściekłość przejęła go za to, iż tak iawnie obarczony został wzgardi i przyganami społeczeństwa, w którym żyć musi. Zbladły iego usta, lica zaczerwieniały się, a na czoło pot wystąpił. Zgrzytnął

zębami, ścisnął pięści, i machinalnie schwycił za broń, który kaznodzieia nadał tak obmierzłą cechę. Nareście wściekłość jego wzrosła do tego stopnia, że bojąc się, ażeby iakiś straszliwý gwałtowności nie popełnił, zerwał się i wyszedł z kaplicy.

Kaznodzieia przestał mówić na chwilę, widząc jak Roland przeszedł koło niego z szybkością błyskawicy i rzucił nań spojrzenie, które mu by niszczącą siłę gromu chciał nadać. — Lecz skoro tylko młodzieniec wyszedł i drzwi gwałtownie zatrzasnął za sobą, Warden, znalazł w jego odejściu, okoliczność, z której umiał korzystać dla działania na umysły słuchaczy. Uroczystym i powolnym tonem wyrzekł nowy text. *Oddalił się z pośród nas, ponieważ nie do nas należaał: chory odrzucił zbawienny kielich, z powodu goryczy jego; ranny nie dozwolił dobroczynnemu chirurgowi, ażeby dla u-*

leczenia go, obeyrzał i zgłębił iego ranę; owieczka uciekła z trzody, ażeby oddać się na łup wilkom żarłocznym, ponieważ nie umiała postępować z pokorą, iakiéy dobry pasterz wymaga. Ach moi bracia! Lękaycie się dumy, lękaycie się tego grzechu, który częstokroć smutne w oczach naszych przybiera barwy...

Zakończył kazanie, mocno i tkliwie napominając słuchaczów, ażeby błagali pomocy łaski Bożej, przy której człowiek, chociaż słabły, wszystko uczynić może.

Z wielkim wzruszeniem słuchano iego mowy, chociaż wątpić można, czyli uczucie tryumfu, z powodu ochydnego oddalenia się pazia, było iednym z tych owoców pokory cześciańskię. Wyraz fizyonomii wszystkich sług, podobny był do zadowolenia studentów, którzy widząc jak ukarano iednego z nich, za błąd, którego nie byli współ-

nikami, z nowym zapałem biorę się do pracy: nayprzód dla tego, że ich nie ukarano, a powtore, że ukarano ich współucznia.

Lady Awenel z odmienném uczuciem wróciła do swoiéy komnaty. Gniewało ją to, że Warden wybrał za przedpublicznéy nauki, sprawę domową, która osobiście ją obchodziła. Lecz wie-działa, że zacny mąż dopominał się o tę swobodę mówienia, iako o prawo należące się iego powołaniu, i upowa-żnione powszechnym zwyczaiem. Po-stępowanie Rolanda ieszcze i bardziéy smuciło. Tak iawnie uchybiając nie tylko uszanowaniu które dla niéy mieć winien, ale i kapłanowi, okazał tę nie-hamowność umysłu, o którą oskarża-li go nieprzyjaciele. A iednakże, do-póki pod iéy okiem zostawał, po-strzegała w nim tylko tę wrzącą dumę i tē nierozważną żywosć, godną prze-baczienia w iego latach. Czuła, że

nieco stronności i pobłażania, mogło wzbudzić w nięt to mniemanie, a jednakże nie chciała wierzyć, że się zupełnie zawiodła w zdaniu swoim o charakterze Rolanda. Gwałtowny humor, nie może ukrywać się pod zasłoną ciągłej obłudy, a chociaż niekiedy Lilia dawała ięt do zrozumienia, że dwie te wady łączyły się mogą, więct zawierała w własnym doświadczeniu, aniżeli podszeptom innych. Myśl sama o tym młodym sierocie, przemówała ięt serce nie odgadnioną czułością; zdawało ięt się, że z nieba zesłany został, aby umilić ięt długie dni nudzenia i tęsknoty, podczas tak częstych niebytności męża. — Może też droższym był ięt dla tego, że prócz nięt samęt, nie miał żadnego przyjaciela, oraz, że czuła, iż odstępując od niego, dawałaby pierwszeństwo nad zdaniem własnym, zdaniu męża, Wardena, i całego domu, a ta oko-

liczność nie iest obojętną naylepszéy  
nawet kobiecie.

Nareście postanowiła nie opuszczac  
pazia swoiego, dopóki tylko zgodnie  
z rozsądkiem będzie mogla nim opie-  
kować się, a chcąc się przekonać jak  
dalece może to czynić ieszcze, kaza-  
ła go przywołać do siebie.

---

\*\*\*\*\*

## RO ŻDZIAŁ V.

Gdy okrętowi grozi rozhukana fala,  
 Kupiec topi swe skrzynie, majtek maszt obala,  
 Każdy wszystko za życie oddać iest gotowy:  
 Tak kiedy pożar buntu zaczyna się szerzyć,  
 Nie ieden trwożny władza aby lud uśmierzyć  
 Poświęca mu naydroższych ulubieńców głowy.

*Dawna Komedyja.*

Upłynął czas nieiaki nim Roland przyszedł. Dobra iego przyjaciółka Lilia, posłana po niego, chciała z razu otworzyć drzwi od iego izdebki, w téy chrześciańskiéy nadziei, że się ucieczy zawstydzaniem winowaycy. Ale rygiel żelazny stawił nieprzełamianą zaporę iéy dobrym zamiarom. Pukała i wołała zarazem:— Rolandzie! Rolandzie Groemes! Mości Rolandzie Groemes, a

wyraz *Mości* wymawiała z przyciskiem: czy zechcesz otworzyć? Cóż tam robisz? Czy odmawiasz modlitwy w izbie twoiény, ponieważ nie chciałeś dokonczyć ich w kaplicy. Trzeba będzie kazać zrobić dla ciebie lożę z kratami, ażeby nikt patrzec nie mógł na twoię szlachetną osobę! Na te docinki nie otrzymała żadný odpowiedzi. — No! *Mości Rolandzie*, przydała garderobiana, powiem pani ażeby posłała do ciebie kogo takiego, aby zdołał drzwi wyłamać.

— Czego chce twoia pani? zapytał się paź, nie otwierając.

— Do licha! otwórz drzwi, a do-wiesz się; zdaie mi się, żem nie powinna gadać do ciebie przez dziurkę od klucza.

— Nazwisko twoiény pani iest ochroną dla twoiego zuchwałstwa, odpowiedział paź otwierając drzwi. Gzegóž milady chce odemnie?

— Chce ażebyś natychmiast przyszedł do sali, odpowiedziała Lilia. Sądzę, iż ci powie iak potrzeba zachować się w kaplicy.

— Oświadcz milady, że przydę na ię rozkaz, odpowiedział Roland wracając do izby, i zaryglował drzwi nie czekając aż Lilia odeydzie.

— Piękna grzeczność! zwołała garderobiana odchodząc, i uwiadomiła swojej panią, że Roland przydzie kiedy mu się podoba.

— Czyli sam użył takich wyrazów, albo czyliż to iest twój dodatek? oziębli zapytała się milady.

— W rzeczy samej, pani: rzekła Lilia, nie chcąc wprost odpowiedzieć na to pytanie: z iego twarzy widać było, że byłby i inne niedorzeczności powiedział, gdybym go słuchać chciała. Ale otóż i on, sama go pani usłyszy,

Roland Groemes, wszedł z dumniejszą i bardziej zapaloną twarzą iak zwy-

czayne; widać było na nię jakieś pomieszanie, ale nie malował się ani żał, ani boiaźń.

— Młodzieńcze, rzekła lady Awenel, cóż myśleć mam o dzisiejszym twoim postępowaniu?

— Jeżeli obraziłem milady, mocno mnie to boli.

— Gdybyś mnie tylko obraził, przedzýbym ci przebaczyła; ale postępowanie twoie obraża także twoiego pana. Dopusciłeś się gwałtowności przeciw twoim towarzyszom; ubliżyłeś uszanowaniu należącemu się Bogu, w osobie iego kapłana.

— Pozwól milady, niechay odpowiem na to, że ieźlim obraził moje panie, moje dobrodzieyki, ten iedyńny błąd mogę sobie wyrzucić. Nie zostaię na usługach sir Albertā Glendinning; nie ma prawa ganić mnie żem ukarał zuchwałego służalca; i nie lękam się, abym gniew Niebios na siebie ściągnął przez

to, żem z pogardą słuchał wyrzutów kaznodziei intryganta, który nie miał prawa zwracać ich do mnie.

Lady Awenel iuż nie raz postrzegała drażliwość swego faworyta i niecierpliwość iego na wyrzuty i nagany. Ale w téy chwili, potępowanie iego stawało się poważniejszym i stalszym; wahała się przez chwilę w iaki sposób mówić ma do młodzieńca, który nagle przybiera ton i mowę dorosłego człowieka, i okazuje stałość iego. Po chwilii namysłu przybrała wrodzoną sobie godność, i rzekła:— Do mnież to Rolandzie śmiesz tak mówić? Czyliż dla tego ażebym żałowała moich łask zlewanych na ciebie, okazujesz się niepodległym, i nie chcesz uznać nad sobą pana ani na ziemi, ani w niebie? Zapomniałeś czém byłeś? Czy myślisz o tém co się z tobą stanie, ieżeli moię opiekę usunę od ciebie?

— O niczém nie zapomniałem, mila-

dy; mam pamięć aż nazbyt dobrą. Wiem, że bez ciebie utonąłbym w téy wodzie, rzekł, wyciągając rękę ku jezioru, którego powierzchnię wzruszoną zachodnim wiatrem, z okna widać było. Dobroć twoia ieszcze się daléy posunęła: zasłaniałaś mię przeciw złośliwości innych i przeciw moim własnym szaleństwom. Wolno ci iest opuścić, iżeli zechcesz, sierotę, któregoś wychowała. Wszystkiem byłaś dla niego, żadný nie wyrzecze skargi; jednakże, milady, nie oskarżaj mię o niewdzięczność; cierpiąłem dla ciebie to, czegobym dla nikogo w świecie, prócz dla moię łaskawczyni, cierpieć nie chciał.

— Dla mnie! lady Awenel zawałała, a cóž mógleś cierpieć dla mnie, kiedy wszystko, com dla ciebie świadczyła, powinno było wzbudzać w tobie iedyne same uczucia wdzięczności?

— Jesteś zbyt sprawiedliwą milady,

ażebyś wymagać mogła wdzięczności moiéy za oziebłość, z którą sir Albert Glendinning zawsze obchodził się ze mną, za oziebłość prawie posuwającą się aż do wstrętu; za ciągłe dowody pogardy i niechęci, których doznawałem od całego dworu twoiego, i za naukę, którą wasz przewielebny kapelan, moim kosztem, uczestował dziś zgromadzenie?

— Słyszałże kto o czém podobném! zwołała Lilia, wznosząc ku niebu oczy i ręce; nie mówiłby inaczéy gdyby był synem rycerza albo hrabi.

Paź z pogardą spojrzał na nią, ale iéy nie raczył odpowiedzieć. Lady Awenel czując, że ią ciężko zaczyna obrażać, i z bolescią widząc to szaleństwo pazia swego, mówiła tymże samym tonem.

— Wrzeczy saméy Rolandzie, zapominasz się tak dalece, iż będę musiała, dla wybitia ci z głowy zbyt wielkiego

o sobie rozumienia, zwrócić cię do stanu, który w społeczności zamykać powinieneś.

— A iedyń śródek na to, rzekła Lilia, jest wypędzić go z zamku iak żebrawą; bo iak żebrawa dostał się tutaj, kiedyś pani raczyła mu dadz przytułek.

— Lilia za ostro mówi, rzekła lady Awenel, ale mówi prawdę, młodzieńcze, i nie mogę iuż dłużej znosić téy dumy, która iak się zdaie, zupełnie zwróciła ci głowę. Dano ci piękne suknie, obchodzono się z tobą iak z potomkiem bogatéj rodziny, i zapomniałeś czyja krew płynie w żyłach twoich.

— Wybacz milady, Lilia nie powiedziała prawdy, i nie znasz dostatecznie familii moiéy, ażebyś o niéy z taką pogardą mówić mogła. Nie iestem synem żebrawy; moia babka nie żebrała nigdy, ani tu, ani gdziekolwiek bądź. Wołałaby raczey umrzeć z głodu w iakim zakątku lasu. Nieszczęścia wygnali

nas z domu naszego, i nie jednego spotkała ta kolęy. Zamek Awenelu ze swoim ieziorem i wieżami, nie zawsze zabezpieczył iego panów od niedoli i niedostatku.

— Co za śmiałość! zawała Lilia; wyrzuca milady nieszczęścia ię rodniny.

— Móglby nie czynić téy wzmianki, rzekła lądy Awenel, tém wspomnieniem dotknięta.

— Potrzebną była dla moiego usprawiedliwienia się, milady, rzekł Roland; bez tego nie wyrzekłbym ani słowa, któreby ci naymnieyszą przykrość zrzadziło. Ale wierzay, iż nie podła krew płynie w moich żyłach. Nie znam rodu moiego; ale iedyna moia krewna zapewniła mię, iż ze krwi szlachetnej pochodzę, i wewnętrzne uczucie potwierdza tę prawdę.

— I na mocy takich to czczych zapewnień domagasz się o wzgłydy i pra-

wa, należne iedyne dostojeństwu i urodzeniu? Młodziku, sam siebie oceń należycie, albo móy intendent ukarze cię iako dziecko uporczywe i zuchwałe. Zabardzo ochraniano cię od kary stoso-wnény do twego wieku i stanu.

— A wprzódy nim intendent wymierzy mi ią: zwołał Roland nie mogąc dłużey przytłumić gwałtownego wybuchu: sam zapozna się z moim sztyletem. Milady, zbyt długo byłem niewolnikiem trzewika i srebrný swistaczki; kogo innego weź do swoich usług, i wybieray go z ludzi tak niskiego urodzenia, i tak nikczemnego umysłu, ażeby cierpieli wzgardę twoich służących, i panem swoim nazywali lennika kościoła.

— Zasłużyłam na tę zniewagę, zwołała lady Awenel, zasłużyłam na nią, zbyt długo cierpiąc i podsyciając zuchwałość twoię. Oddal się, tego jeszcze wieczora opuść zamek, opatrzę

twoie wyżywienie, dopóki sam nie będziesz mógł na nie zarobić uczciwym sposobem; chociaż obawiam się, ażeby twoie wyobrażenia o uroiony wielkości, wszelkich sposobów do życia nie wystawiły w oczach twoich iako niegodnych ciebie, i abyś nie chciał znać innych, prócz gwałtów i łupieżwa. Wyjdź i nigdy nie pokazuj się przed moim obliczem.

Paź upadł iéy do nóg z wyrazem naięcięszego zmartwienia.

— Moia kochana i szanowna pani! zwołał, ale nie zdołał więcej ani słowa wymówić.

— Wstań, rzekła iego pani, obłuda iest zbyt lekką zasłoną niewdzięczności.

— Nie zdolny iestem ani do iedný ani do drugiény, zwołał Roland zapłoniony, powstając z wrodzoną mu żywością. Nie sądź, że chcę błagać abyś mi dozwoliła dłużej pozostać w zamku, iuż oddawna opuścić go po-

stanowiłem i nigdy nie przebaczę sobie, żeś mi wprzódy powiedziała *Odeydz'*, aniżeli ia rzekłem sam do siebie: *Odeszłem*. Padłem do nóg twoich, błagając ażebyś mi przebaczyła nieroźważne słowo, które mi wykradło się w uniesieniu, i któregobym inaczey nie śmiał wyrzec przed tobą: nie proszę cię o inną łasę. Wieleś uczyniła dla mnie, ale powtarzam ci milady, wiesz lepiej co uczyniła dla mnie, aniżeli co ia wycierpiałem za ciebie.

— Roilandzie, rzekła lady Awenel, ieszcze litując się nad swoim faworytem, mogłeś odwołać się do mnie kiedy cię znieważano; nie powinieneś być ani cierpieć zniewag, ani mścić się za nie, dopóki zostawałeś pod moją opieką.

— A ieżeli te zniewagi pochodziły od osób które kochałaś i którym sprzyjałaś, miałżem zakłócać twoje spokojność, nudzącemi doniesieniami i nie-

stanną skargą? Nie, milady, w milczeniu ciężar mózgnosiłem, a wdzięczność, o który brak oskarżasz mnie, była jedyną pobudką wstrzymującą mnie od żądania sprawiedliwości, albo też od wymierzenia iéy pewniejszym sposobem. Z resztą, iuż czas nadszedł, ażebyśmy się rozłączyli. Nie zrodziłem się do życia w podległości i w łaszkach moiéy pani, czekając ażbym legł ofiarą potwarzy. Oby niebo zlało błogosławieństwa na drogę i szanowną głowę twoię, a przez miłość ku tobie, na wszystko co ci iest lubém.

Już kilka kroków postąpił, gdy go lady Awenel przywołała. Zatrzymał się natychmiast i obrócił się ku niéy.

— Mimo nieukontentowania moiego nie chcę i niesprawiedliwie byłoby, odprawiać cię bez sposobu do życia; weź te pieniądze.

— Przebacz milady, ale dozwól niechay nie poniże się w moich wł-

snyczych oczach, do tego stopnia, że bym miał przyjąć iałmużnę. Jeżeli drobne usługi, które ci uczynić mogłem, są wynagrodzeniem za moje żywotność i utrzymanie, ieszece winienem ci życie, a z tego długu nigdy się wypłacić nie zdołam. Odbierz więc te pieniądze i chcię mi raczey powiedzieć, że cię nie opuszczam rozgniewaną przeciw mnie.

— Nie tyle iestem rozgniewaną, ile raczey zmartwioną, łagodnie odpowiedziała lady Awenel, tém, że postrzegam w tobie taki dziwaczny i uporczywy charakter. Ale weź to złoto, będziesz go zapewne potrzebował.

— Niechay niebo wynagrodzi twoje dobroć milady i ten ostatni dowód łaskawości. Złota przyjąć nie mogę, mam siły i odwagę i nie iestem tak ogołcony z przyjaciół iak mniemasz i może kiedyś wdzięczność moje zdołam ci okazać nie samemi tylko słowami,

To rzekłszy, ukląkł przed nią na kolano; uchwyciwszy rękę który nie usunęła ucałował ją z uszanowaniem i wyszedł śpiesznym krokiem.

Lilia przez kilka chwil stała z oczyma wlepionymi w swoje panią, która zbladła tak, iż garderobiana mniemała że ię słabo się zrobiło. Lecz milady nagle odzyskując siły, odprawiła ją i odeszła do swojej komnaty.

---

\*\*\*\*\*

## ROZDZIAŁ VI.

Tajemnicy dla ciebie, nie ma w całym domu,  
Wiesz dobrze co kto zrobił, co powiedziała kośnu.  
Dla czegoż to? bo lubisz w przedpokoiu siedzieć,  
Tam naylepię o wszystkiém można się dowiedzieć.  
Bo o panu i pani, gada tam od rana  
Lokay, i kamerdyner i garderobiana.

*Dawna Komedyja.*

Nazajutrz po téy scenie, któraśmy opisali w przeszłym rozdziale, faworyt popadły w niełaskę, bardzo rano opuścił zamek; a przy śniadaniu; rostropny intendent i pani Lilia, poważnie rozmawiali o tym wypadku, zaiadaiąc ciało i zapijając wino kanaryjskie, w które opatrzył się przezorny pan Wingate.

— Poszedł więc sobie, rzekła garderobiana, niosąc kieliszek do ust: szczęśliwéy podróży mości Rolandzie.

— Amen, poważnie odpowiedział intendent, nie życzę nic złego biednemu młodzieńcowi.

— Poszedł iak dzika kaczka, takim samym sposobem iakim przyszedł; nie trzeba było spuszczać mostu, ani bramy otwierać; popłynął na Herodzie, iak tam zowią łódź, chociaż wstyd iest nazywać imieniem chrześciańskiem, deski zbite żelazem, i sam przeprawił się przez ieziorko. Swoie naypiękniejsze suknie zostawił porozrzucane po izbie. Nie wiem kto ich tam pozbiera, a przecież warte są tego.

— Bez wątpienia mościa pani Lilio, pewny iestem, że nie pozostaną na podłodze.

— Ale przyznaj się panie Wingate, czyliż w głębi duszy nie raduje cię to, żeśmy się pozbyli świecącego robaka, który nas wszystkich chciał zaćmić?

— Co do radowania się, mościa pani Lilio, kto tak dugo iak ia żył w

wielkich domach, ten nie raduje się tak śpiesznie. A chociaż odeyście Rolanda pozbawiło nas wielkiego kłopotu, znasz przysłowie, wiemy z kim się rozmstaiem, nie wiemy kogo dostaniem.

— Nie wiemy kogo dostaniem! a kogoż gorszego dostać możemy? Byłyby zgubił moię biedną panią, (to mówiąc przyłożyła chustkę do oczu) z ciałem duszą i majątkiem, bo wydawała na niego więcej pieniędzy, aniżeli na czterech służących zamkowych.

— Pani Lilio, odpowiedziała poważny intendent, sądzę, żeśmy nie powinni tak bardzo troszczyć się o naszą panią; ze wszystkich względów może sama rządzić swoim ciałem, duszą a w dodatku i majątkiem.

— Nie mówiłbyś tym sposobem, gdybyś widział iak wyglądała wezoray, kiedy paź z nią się żegnał: zupełnie iak żona Lota. Moja pani iest kobietą rostropną, cnotliwą, dobroczyńską; nie

można o nię powiedzieć nic złego, ale nie dałabym za to ani szeląga, żeby sir Albert był ią widział w téy chwili.

— Fe! fe! fe! pani Lilio, rostropni słudzy powinni mieć otwarte oczy i uszy, a ięzyk trzymać za zębami. Oprócz tego, wiemy, iak mocno milady kocha sir Alberta, i to nie bez przyczyny; nie znaydzie w całém królestwie doskonalszego rycerza.

— Bardzo dobrze! bardzo dobrze! nie mówiłam tego w złéy myśli. Ale ci, którzy tak daleko szukają honoru, nie zawsze wiedzą co zastaną w domu, i na tém koniec. Oprócz tego, czyliż nie trzeba zważyć na samotność w jakiej żyje milady? Czyliż nie dla téy przyczyny przyjęła w dom swóy małego żebraka, którego pies wyłowił z jeziora.

— I właśnie dla tego nie ma się z czego cieszyć; ieżeli twoia pani dla rozrywki potrzebowała faworyta, te-

raz po iego odaleniu się, czas nie będzie śpiesznię upływał; a ieżeli zechce wybrać innego, bądź pewna, że ich nie zabraknie.

— A dla czegóżby nie uczyniła tego wyboru w swoim własnym domu, pomiędzy osobami, których gorliwości i wierności doświadczyla, które od tak dawna iadły ię chleb i piły ię piwo? Znałam damę tak znakomitą iak ona, która nie miała innę przyjaciółki ani faworytki, prócz swojej garderobiany: nie ubliżając względom należącym się staremu i wiernemu intendentowi, mości Wingate.

— Bez wątpienia, bez wątpienia, widzę do czego zmierzasz, ale nie dojdiesz do celu. Przypuszczając, że tak się mają rzeczy iak sądzisz, ani twoje papiloty, (nie chcę im przez to uwłaczać), ani moje siwe włosy, nie zapełnią tęsknoty, którą po Rolandzie Groemes uzuie twoia pani. Przyiedzie iaki

młody lekarz z nowym lekarstwem, iaki waleczny rycerz, który prosić będzie aby mu wolno było nosić ię barwę na turnie-ach; iaki minstrel, który umie trafiać do serca kobiety, iak mówią że signor Da-wid Rizzio trafił do serca naszey bie-dn ey królowey: tacy to ludzie zastąpią faworyta, nie zaś stary intendent i gar-derobiana, która... która... i z nie ma lat piętnastu.

— Wiem, że masz doświadczenie Panie Wingate, i szczerze chciałabym żeby nasz pan nie biegał po świecie, i więc zaymował się interesami swo- go domu. Boię się, ażeby papizm nie przecisnął się do nas. Czy wiesz co znalazłem w kieszeni tego szpaka? Ro- żaniec, tak różaniec! *Ave i Credo* z ziar- nek złotych: rzuciłam się na nie iak sęp, patrz oto są.

— Nie wątpię o tem, nie wątpię, rzekł Wingate, wstrząsając głową, że młodzieniec zaymował się praktykami

tchnącemi papizmem, i taił się z niemi  
troskliwie.

Oh! to iest prawdziwy róžaniec:  
przydał, bacznie mu się przypatrując:  
iest w nim przynaymniéy cztery uncye  
złota.

— I czémpredzéy go stopię, gdyż  
się boię ażeby nie zgubił iakiéy bie-  
dnéy duszy.

— Dobra ostrożność, pani Lilio! do-  
bra, bardzo dobra.

— Każę z niego zrobić parę sprzą-  
czek do trzewików, bo tylko przy no-  
gach, tak iest przy nogach, nosić chcę  
kleynoty, co może należały do papieża;  
któż to wie? Nie! nie! chociażby to były  
dyamenty. Taki to skutek wyniknął  
złąd, że oyciec Ambroży kręci się po  
zamku; tak on iest zmyslny iak kot cza-  
tujący na śmietankę.

— Oyciec Ambroży, iest bratem nasze-  
go pana, poważnie odpowiedział inten-  
dent.

— Masz słuszność panie Wingate,  
ale czyż powinien psuć dobrych chrze-  
ścian i zamieniać ich na papistów?

— Niech Bóg zachowa mośćia pani  
Lilio; ale wszystko zważywszy, są na  
świecie ludzie gorsi aniżeli papiści.

— Nie wiem gdzie ich szukać, z kwa-  
śną miną odpowiedziała garderobiana;  
ale zdaie mi się, że gdyby ci i o samym  
szatanie mówiono, powiedziałbys także,  
iż są ludzie gorsi od niego.

— Zapewne powiedziałbym to, gdy-  
bym widział szatana siedzącego obok  
mnie.

— Niechay nas Bóg bronii, zwołała  
Lilia drżąc: dla czegoż panie Wingate  
tak mię przestraszasz?

— Nie chciałem tego czynić pani  
Lilio. Posłuchaj mię: papiści stoią  
teraz na dole, ale Bóg wie iak długo  
trwać będzie to teraz. Jest w półno-  
cnéy Angliai dwóch hrabiów papistów,  
hrabiowie Northumberlandu i Westmo-

morelandu, którzy brzydzą się nawet tym wyrazem reformacya, i tak potężni iż mogą wstrząsnąć tron chrześciaństwa. Nasz Król Szkocki, niechay go Bóg strzeże! iest szczerym protestantem, ale iego matka nasza dawniejsza królowa, (mogę to bez występu powiedzieć), niechay się nią Bóg opiekuje, iest katoliczką. Wielu zaczyna mniemać, że się z nią za surowo obeśli: iako to Hamiltonowie z zachodu, Gordonowie z północy i kilkunastu naszych nadgranicznych panów co to zawsze pragną zmiany; a ieżeli zmiana zaydzie, to zapewne królowa odzyska koronę, a wtedy śpiewać będą mszę, a suknie krojem genewskim i czapki z czarnego jedwabiu w kąt pójdą.

— I tyż to panie Jasper Wingate, ty, coś był tak szczęśliwym, żeś słuchał szanownych nauk zacnego Henryka Wardena; możesz mówić, a nawet pomyśleć, że papizm spadnie na nas iak potok, że Marya może ieszcze

zamienić tron Szkoccy, w tron obrzydzenia. Nie dziwię się teraz, że tak grzecznie kłaniasz się temu zakapturzonemu mnichowi, kiedy przychodzi tutaj ze spuszczonemi oczyma, których nie śmie nigdy wznieść na milady, ze słodziutkim głoskiem i z błogosławieństwem, które iak widać z takiem upobabiem przyymuesz.

— Pani Lilio: odpowiedziała intendent, tonem oznaczającym iż chce skończyć rozmowę: do wszystkiego są pobudki. Jeżeli byłem grzecznym dla ojca Ambrożego, ieżelim dozwolił, aby miewał tajemne konferencye z Rolandem Groemes, ieżelim otrzymał iego błogosławieństwo, to dla tego, że szanuję krew moiego pana. A ieżeli Maryja tron odzyska, który wie czyle oycie Ambroży nie stanie się drzewem, które nam równie silněy użyczy podpory iak dzisiaj brat iego. Bo gdy królowa odzyska władzę, bywayże

zdrów hrabio Murray: kontent będzie ie-żeli zemknie z głową na karku. Otóż nasz pan musi podzielać dolę hrabi swego opiekuna a który podług wszelkiego po-dobieństwa do prawdy, zaymie opuszczonę krzesło, ieżeli nie tenże oyciec Ambroży. Papież może uwolnić go od ślubów, a wtedy zamiast mnicha z klasztoru Stéy Maryi, uyrzelibyśmy w nim woiownika sir Edwarda Glen-dinning.

Gniew i podziwienie, zniewoliły Li-lią do milczenia, a tymczasem iey sta-ry przyjaciel kontent sam z siebie, ob-jaśniał swe polityczne rachuby. Na-reście oburzenie iey zrobiło sobie dro-gę i wybuchło w tych słowach :

Co! mości Wingate, dla tegoż to ja-dłeś przez tyle lat chleb moię pani, że nie powiem chleb moiego pana, ażebyś mniemał, że ią wypędzi z zamku Awe-nelów, mnich, który nawet nie iest iey pokrewny? Ja prosta kobieta, chciałam

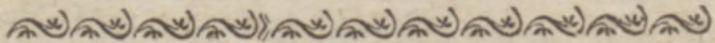
wiedzieć co iest moeniejszym, czy ie-  
go habit, czy móy fartuszek. Pfe, pa-  
nie Wingate, gdybyś nie był moim da-  
wnym znajomym, powiedziałabym pani  
o wszystkiém, chociażby mię gadulską  
i donosicielką nazwała, iak wtedy  
gdym powiedziała, że Roland zastrzelił  
Łabędzia.

Roztropny intendent zmieszał się, wi-  
dząc, że szczegóły, nad którymi rozwo-  
dził się, zamiast uwielbiania iego ro-  
stropnej rachuby, wznieciły podejrze-  
nie o jego wierności; usiłował natych-  
miast wycofać się i usprawiedliwić, uła-  
gadzając niektóre rzeczy, objaśniając in-  
ne. Z tém wszystkiém, bardzo go obraził  
w duszy, niedorzeczny sposób, którym  
**Lilia Brandburne** tłumaczyła sobie iego  
słowa i pozostał przekonany, że gani je  
dla tego tylko, że oyciec Ambroży ieżeli-  
by kiedykolwiek został panem zamku,  
będzie musiał potrzebować intendenta,

lecz usługi garderobiany za nieużyteczne poczyta.

Po takiém tłumaczeniu, przyjętém iak wszelkie tłumaczenia, *przyjaciele* rozdzielili się, nie tak serdecznie iak zazwyczay. Lilia pobiegła do pani, na głos srebrný świstaczki, a intendent powrócił do obowiązków swoego wydziału. Wingate [uezuł, że iego światowa mądrość potępiła nie interesowane przywiązanie garderobiany, a Lilia musiała uważać intendenta, iako człowieka, którego przywiązanie zupełnie od okoliczności zależy.

---



## ROŽDZIAŁ VII.

Gdy mniemaią żem bogaty,  
Nikt nie chce zapłaty.  
Ale gdy dokucza bieda,  
Nikt na kredyt nie da.

*Dawna piosnka.*

Gdy oddalenie się pazia było przedmiotem rozmowy, przytoczonéy w poprzedzającym rozdziale, były faworyt szedł samotny, nie wiedząc iaki będzie cel i skutek iego wędrówki. Wysiadł był z łodzi w stronie naybardziéy oddalonéy ode wsi, ażeby go mieszkańcy nie postrzegli; duma ostrzegała go, że tak nagłe odejście wszystkich zadziwi. Ze wstrem byłby został celem ich politowania, a przez wspaniałomyśl-

ność obawiał się, ażeby oznaki przychylności, którą mu okazać mogli, nie zaszkodziły im w zamku. Wkrótce przekonał się, że pod tym względem nie powinien obawiać się o swoich przyjaciół. Tylko co stanął na brzegu, spotkał młodzieńca o kilka lat starszego niż on, który nieraz miał to za wielki zaszczyt, kiedy mu towarzyszył i zbierał upolowaną zwierzynę.

— Weźmie wybrałeś się w pole panie Rolandzie. Jak to? bez psa i sokoła?

— Może na zawsze pożegnałem się z psami i sokołami Ralfie; oddalono mnie... chciałem powiedzieć opuszczam zamek.

— Co! przechodzisz do służby rycerza: czy wezmiesz kirys i włócznię?

— Nie, wcale nie, na zawsze opuściłem zamek Awenel.

— Gzież więc idziesz?

— Na to pytanie, w téy chwili od-

powiedzieć nie mogę, bo sam nie wiem ieszcze dokąd się udam.

— Z resztą mniejsza o to, milady zapewne nie puściła cię bez wyładowania kieszeni twego surduta.

— Łakomcze! sądzisz więc żebym przyjął iałmużnę od kobiety, która mię opuściła ulegając namowie obłudnego kaznodziei, i garderobiany intrygantki. Zadusiłby mię naypierwszy kąsek chleba kupionego za ięy pieniądze.

— Ralf spojrzał nań z podziwieniem, połączoném z pogardą. No! no! nie ma się o co gniewać: każdy zna swóy żołądek. Co do mnie, gdybym wyprawiony został w świat, nie wiedząc co się ze mną stanie, z radością poczułbym w kieszeni moię kilka powóynych koron, mniejsza od kogo-by pochodziły. Ale ieżeli chcesz, możesz pójść ze mną do mego ojca... to iest, na dziś tylko, bo iutro przyjdzie

nasz stryy Menclaws, ale iak mówię  
łem na dziś... ieżeli ci się to podoba...

Oziębłość tych zaprosin i powtóżenie,  
że tylko są na dzień ieden, obu-  
rzyły drażliwego Rolanda, i obraziły  
iego dumę.

— Wolałbym przepędzić noc pod  
gołém niebem, iak to nieraz czyniłem  
bez konieczný potrzeby: zwołał, ani-  
żeli wstąpić do zadymioný chaty oycia  
twoiego, w któryey usquebaugh (1) i  
terf, czuć bardzięy aniżeli w szafasię  
górala.

— Możesz robić co ci się podoba,  
odpowiedział Ralf; ale ieżeli z pustem-  
mi kieszeuiami chcesz iść daleko, za-  
pragniesz nieraz szklanki usquebaughu  
i dobrego torfowego ognia. Z resztą  
grzeczność moia zasługiwałaby na po-  
dziękowanie, bo nie każdy chciałby ią  
okazywać odprawionemu śladze.

---

(1) Likwor dystylowany, używany od góralów  
Szkoeyi.

Krew wystąpiła na lica Rolanda.— Ralfie! zwołał, pamiętaj żeś nie raz zapoznał się z moją szpicerutą, z tą samą, którą teraz w ręku trzymam.

Ralf krzepki chłopak, i znaiący wyższość sił swoich, pogardliwie rozśmiał się z téy groźby.

— Może bydź, iż to iest ta sama szpiceruta i ta sama ręka; lecz nie boję się ani iedný, ani drugiény. Naucz się móy były paziu damski, że kiedyś mię uderzył szpicerutą, nie oddawałem ci wet za wet, nie dla tego żebym się bał ciebie, ale żem się bał twoich panów; a dziś sam nie wiem co mię wstrzymuje od zapłacenia za twoie grubiaństwo, tym kium orzechowym, i pokazania ci, żem włenczas ochraniał libertyą zamkową, nie zaś twoie delikatne członki, Panie Rolandzie.

Mimo swoiéy wściekłości, faworyt popadły w niełaskę, był tak roślropny, iż zważył, że kłótnia ta wystawiłaby

go na razy wieśniaka, daleko silniejszego niż on; a gdy iego przeciwnik stał przed nim z założonemi rękoma i z tryumfującą miną, gorzko uczuł zmianę swego położenia, i zalał się łzami, które naprzóźno usiłował powściągnąć.

Wzruszył się prosty wieśniak taką niedową swego dawnego przyjaciela.

Słuchajno Panie Rolandzie, rzekł, ia tylko żartowałem. Pamiętam o dawny znaimości naszey i nie chciałem cię uderzyć. Ale na przyszłość zmierz wprzody z kim będziesz miał do czynienia, nim zaczniesz grozić; ręka twoia w porównaniu z moią, wygląda jak wrzeciono. Ale słyszę jak stary Woodcock świszcze na sokoła; idźmy do niego, wesoło przepędzimy ranek, a potem pójdziemy do moiego oyca, mimo torfu i usquebaughu; który wie, może znajdziemy iaki uczciwy sposób do życia, chociaż to iest rzecz trudna w tych czasach.

Nieszczęśliwy paź nic nie odpowieǳiał, obiema rękami twarz zasłonił, a Ralf cieszył go po swoiemu.

— Gdyś był faworytem milady, mówiono że iesteś dumnym, niektórzy nawet nazywali cię papistą, nie wiem dla czego. Ale teraz gdy iuż się tobą nikt nie opiekuje, musisz bydż uprzeymym i przyjacielskim, musisz słuchać nauk kapłana, ażeby ludziom wszystkie te wyobrażenia wybić z głowy. Jeżeli ci powie żeś z błędził, wysłuchaj go z pokorą. Jeżeli pan iaki, albo sługa pana z kolei wybiie cię szpicrutą, trzeba mu powiedzieć: — Dziękuię za przetrzepanie moię sukni, albo coś podobnego; iednym słowem, czynić to co ia czyniłem z tobą. Ale słyszę znowu Adama Woodecock. Póydź! póydź Rolandzie, nauczę cię przez drogę co masz czynić.

— Dziękuię ci, odpowiedział Roland, usiłując przybrać obojętną minę

i ton wyzszości, inną obieram drogę,  
nie mogę iść twoim śladem.

— Bardzo dobrze Panie Rolandzie.  
Każdy zna swoie interessa, a ja nie  
chę sprowadzać cię z twoiény drogi, iak  
ią tam nazywasz. No! no! podaj mi  
rękę nim się rozstaniemy. Nie chcesz  
mnieysza o to! bądź dumnym kiedy  
ci się to podoba. Dobrego zdrowia!  
szczęśliwéy podrózy!

— Bądź zdrów! bądź zdrów! rzekł  
Roland, a wieśniak odszedł świszcząc,  
i nie gniewał się wcale, iż pozbył się  
znaimości, która mogłaby mu stać się  
uciążliwą, a żadnýby nie przyniosła  
korzyści.

Roland Groemes szedł dopóki go  
tylko Ralf mógł widzieć; ażeby nie  
okazać iż się chwieje w swoim posta-  
nowieniu, albo też sam nie wie gdzie  
ma pójść; ale przykrém było to wy-  
silenie. Czuł, iż mu się w głowie

kołuie, zdawało mu się, że ziemia, po któryj stąpa, ucieka z pod stóp iego, dwa lub trzy razy ledwie nie upadł, chociaż postępował po drodze bardzo równy. Jednakże, mimo wewnętrzne wzruszenie, szedł dalej, lecz nareście gdy Ralf zniknął za wzgórzem, odwaga opuściła go nagle. Usiadł na trawie; obrażona duma, zmartwienie i bojaźń, potok łez wycisnęła z jego oczu.

Gdy uśmierzyła się pierwsza gwałtowność tego paroxyzmu, młodzieniec samotny i bez wsparcia, uzupełnił ulgę, będącą zwyczajnym skutkiem płaczu. Łzy iego płynęły ieszcze, ale już nie z taką gorączką. Smutne, ale łagodniejsze wrażenia, obudziło w nim wspomnienie iego łaskawczyń; pomyślał, iak niewyczerpaną dobroć zawsze mu okazywała, mimo tytułu oznak burzliwości, które sobie wyrucał teraz iako występek; iakię mu opieki udzielała, już to przeciw nie-

chęci innych, iuż przeciw iego własnym błędom, którą byłby ieszcze cieszył się gdyby nadzwyczajna zaro- zumiałość nie była go iéy pozbawiła.

— Jakiežkolwiek zniewagi znosić musiałem, słuszną były nagrodą moiéy niewdzięczności. Czyliżem nie zblą- dził przyjmując gościnność? Stałem się celem macierzyńskiego przywiąza- nia moiéy łaskawczyni, bez wyjawienia iéy, iaką wyznaię religią. Musi dowie- dzieć się, że katolik jest równie wdzię- cznym iak purytanin; żeem był nieba- cznym, lecz nie złośliwym; że pośród moich największych uchybień zawszem ią kochał, czeił, szanował; że siero- ta, którym się opiekowała, mógł bydż szaleńcem, lecz nigdy nie był nie- wdzięcznikiem.

Gdy te myśli szybko przesuwały się w głowie iego, prędkim krokiem wrocił się ku zamkowi. Lecz pomy- ślawszy, z iaką pogardą zobaczą go wra-

caiącego w pokorze i w poniżeniu, chęcącego błagać (iak mniemać będą) o przebaczenie winy i przytułek w zamku, zwolnił kroku ale się nie zatrzymał.

— Niechay mię obarczą pogardą i szyderstwami, pomyślał, niechay mówią o dumnym poniżonym, o upadku pysznego: mniejsza o to, kara ta spotkać mię powinna za moie szaleństwo, zniosę ią w milczeniu... Lecz ieżeli moia łaskawczyni mniemać będzie żem iest tak podlonym, tak nikczemnym, ażebym nie miał innego celu proszac ię o przebaczenie, prócz odzyskania mieysca, które przy nię posiadałem, iakże zdołam uchronić się od tego podeyrzenia?

Zatrzymał się domawiając tych słów; duma wezwała na pomoc wrodzony iego upór i wystawiła mu, że zamiast odzyskania względów lady Avenel, ieszcze ię pogardę ściągnie na

siebie, idąc za pierwszym natchnieniem skruchy.

— Gdybym miał iaki słuszny pozor, iaką przyczynę, dowodzącą że nie wracam do zamku iako poniżony supplikant, z iakimżeto uczyniłbym pośpiechem! Lecz w obecném położeniu nie mogę tego przenieść na siebie.

Gdy tak rozmyślał, coś tak blisko koło niego przeleciało iż wstrząślo pioro u iego czapki. Wzniósł oczy i poznał ulubionego sokoła sir Alberta; latał on w około niego, iakoby uwagę dawnego przyjaciela chcąc zwrócić na siebie. Roland wyciągnął rękę i uczynił znak zwykłý, a ptak usiadł na niény i równiąc pióra swoie, niekiedy spoglądał na Rolanda, iak gdyby go zapytując, dla czego się z nim nie pieści.

— Ach Dyamencie! zwołał, myśląc prawie że go ptak zrozumie, powinniśmy na zawsze rozstać się z sobą. Nie

raz byłem świadkiem twoich odważnych łowów; widziałem żeś nie raz uderzał na męzną czapłę, ale iuż się wszystko dla mnie skończyło, iuż nie będę polował z sokolem.

— A to dla czego Panie Rolandzie? rzekł Adam Woodcock którego dotąd zasłaniał krzak przed oczyma faworyta popadłego w niełaskę, dla czego iuż nie będziesz polować na sokoła? Czyliż to nie iest pociechą we wszystkich nieszczęściach? Czyliż zapomniałeś o staréy piosneczce:

Bez sokoła, bez sokola,  
Nie zabawić mię nie zdoła.  
Gdybym nie miał pójść na łowy  
Wolałbym nosić okowy.  
Lubię szklankę,  
I kochankę;  
Lecz ni szklanka  
Ni kochanka,  
Wstrzymać mię w domu nie zdoła,  
Kiedy zobaczę sokoła,

Uczciwy sokolnik serdecznym i przyjacielskim tonem mówił do niego, a spo-

sób, którym zanucił swoje piosnki, ozna-  
czał szczerość i prawość. Ale wspo-  
mnienie kłótni i skutków iakie ztąd wy-  
nikły, mięszało Rolanda, i nie wiedział  
co ma odpowiedzieć. Woodcock poznał  
co się dzieje w iego umyśle.

— No panie Rolandzie, rzekł do  
niego, iesteś przez połowę Anglikiem,  
gdyż urodziłeś się na zaprzeczonym  
gruncie; czyliż mniemasz, że ia, rodo-  
wity Anglik, mogę chować w sercu ura-  
zę przeciw tobie, kiedy iesteś w zmar-  
twieniu? Postępowałem jak niektó-  
rzy Szkotowie, (niechay to nie ubliża  
uszanowaniu, które panu moiemu wi-  
nienem) co umieją nadrabiać twarzą,  
czekać sposobny pory, z tobą ieść,  
pić, polować, gadać, a kiedy okolicz-  
ność posłuży, stary dług zapłacić pu-  
ginałem. Woodcock nie pamięta da-  
wnych grzechów. Potrąciłeś mnie, to  
prawda, lecz cóż to szkodzi? Od cie-  
bie mogę to znieść łatwiej aniżeli cu-

dze iakie głupstwo, bo znasz się na so-kołach; chociaż utrzymujesz, że wprzódy potrzeba płukać im żywność nim latać zaczna. No, panie Rolandzie, podaj mi rękę i nie gniewaymy się.

Dumę Rolanda oburzała ta poufałość, z którą mówił do niego uczciwy sokolnik; ale nie mógł się oprzeć tak serdecznemu postępowaniu, i zasłaniając sobie twarz jedną ręką, podał mu drugą, którą Woodcock z przyjacielską prostotą uścisnął.

— To dobrze, odpowiedział sokolnik, to bardziej dobrze; zawszem utrzymywałeś, że masz dobre serce, chociaż co-kolwiek iestes płoichym. Przyszedłem tu z sokołem w té nadziei, że cię zastanę: spotkałem Ralfa Fiszera, i on powiedział, że nie daleko iestes. Świadczyłeś mu więcej aniżeli wart iest; tyle tylko zna się na polowaniu, ile się od ciebie nauczył. Zgadłem z iego

mowy co zaszło pomiędzy wami i po-  
zbyłem go się czémpredzéy. Wolałbym  
drapieżnego ptaka w moiéy sokolarni,  
aniżeli fałszywego przyjaciela przy bo-  
ku. Ale teraz panie Rolandzie, po-  
wiedz mi gdzie iśdz zamierzasz?

— Gdzie mię wola Boska zaprowa-  
dzi, odpowiedział paż, nie mogąc przy-  
tłumić westchnienia.

— No, no, nie wydzieray sobie pie-  
rza dla tego że cię puszezono na wol-  
ność: może przez to ieszcze wyzéy la-  
tać będziesz. Patrz, Dyament iest szla-  
chetnym ptakiem, chlubi się ze swego  
kaptura, dzwonków i wstażeczek; ale  
nie ieden dziki sokół w Norwegii nie  
chciałby się z nim pomieniać. O tobie  
chciałem toż samo powiedzieć. Nie ie-  
stes iuż paziem damskim, nie będziesz  
miał tak pięknych sukien, tak sma-  
cznego pożywienia, tak miękkiego łóżka.  
Mnieysza o to : ale nie będziesz miał  
nad sobą pana, nie będziesz musiał słu-

chać świątaczki srebrný, pójdziesz gdzie ci się podoba. Nie będziesz polował na sokoła, i to iest naywiększa szkoda, lecz ktoś wie iakie iest twoie przeznaczenie? Powiadaią, że sir Albert, (mówię o nim z wszelkiem uszanowaniem) ledwie że nie był został leśniczym w opactwie Štény Maryi, a teraz ma psy, sokoły, i co większa, Adama Woodcock za sokolnika.

— Masz słuszność Adamie; to co mówisz, iest prawdą, rzekł Roland z twarzą zaplonioną; sokoł tém wyżey latać może kiedy się pozbedzie swoich dzwonków, chociaż są ze srebra.

— Dobrze mówisz, a teraz dokąd idziesz?

— Idę do opactwa Kennaquhair, zasięgnąć rady ojca Ambrożego.

— Niechay ci Bóg szczęści, chociaż zapewne zastaniesz mnichów pograżonych w smutku, bo mówią, iż reformowani grożą im że ich wypędzą z klasztoru

i diabłu mszę odprawią w wielkim kościele.

— W takim razie przyjaciel może się przydać oycu Ambrożemu, rzekł Roland z żywością.

— Tak iest, młody śmiałku; ale przyjaciel oycia Ambrożego może w takim razie kilka guzów oberwać.

— Nie dbam o to, nie cofnie mię obawa guzów, ale boię się, ażebym udając się do oycia Ambrożego, nie poróżnił dwóch braci. Póydę więc naprzód do pustelnictwa Śgo Kuthberta. Poproszę starego pustelnika o przytułek na jedną noc, i poślę kogo dowiadując się, czyli oycieci Ambroży każe mi przyyśdz do klasztoru.

— Dalibóg, rzekł sokolnik, iest to plan bardzo rostropny. Wszak wiesz: mówił daléy z pomieszaniem i niezgrąbnością, okazującą, że sam nie wie jak ma wyrazić to co mu ieszcze do powiedzenia zostało: wszak wiesz że mam

worek z żywnością dla sokołów; iak ci się zdaie, czémże iest podszyty?

— Skórą zapewne, odpowiedziała Roland: zdziwiony, że Adam z wahaniem się zadał mu tak proste pytanie.

— Ach! skórą, tak bez wątpienia, mój kochanku; lecz ma i drugą podszewkę, srebrną. I w téż chwili pokazał mu tajemny otwór w worku, starańnie zamknięty. Jest tam, przydał, trzydzieści srebrnych groatów (1) a z nich dziesięć na twoie usługi. Otóż nareście wypowiedziałem co mi ciężyło na sercu.

Z razu Roland nie przyjął tego wsparcia. Ale przypomniał sobie, że uczynił ślub pokory, pomyślał więc, że w tym razie musi go wypełnić. Uzbroiwszy się więc odwagą, odpowiedziała Adamowi, z taką otwartością na iaką tylko mógł się zdobyć, czyniąc rzecz tak przeciwną iego chara-

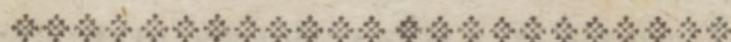
---

(1) Dawna moneta Szkocka.

kterowi, iż z wdzięcznością przyymuie iego przyjacielską ofiarę, i czemprędzey przydał, że spodziewa się iż wkrótce potrafi uiścić się z tego długu.

— Jak ci się podoba młodzieńcze, iak ci się podoba, rzekł sokolnik, z radosną twarzą licząc pieniądze, które mu tak wspaniałomyślnie był ofiarował; i przydał potém zadowolony: Teraz możesz iść śmiało; kto umie ieździć konno, grać na trąbce, gonić za psami, wyuczyć sokoła, kto przytém ma parę trzewików, surdut zielony i dziesięć groatów w kieszeni, może bez kłopotu w świat się puszczać. Bądź zdrów, niechay się Bóg opiekuje tobą.

To rzeklszy, odwrócił się iak gdyby chciał uniknąć podziękowania Rolanda, i odszedł wielkim krokiem.



## ROZDZIAŁ VIII.

Zgaszone światła, ołtarz rozwalony,  
 Krzyż leży w prochu, oniemiały dzwony.  
 Świętych posągi uległy zniszczeniu,  
 Nie został nawet kamień na kamieniu.  
 A może nawet, w téy okropnéy chwili,  
 I pustelnika bezbożni zabili.

*Redivivia.*

Pustelnictwo świętego Kuthbertha, było iednym z tych mieysc gdzie zatrzymali się mnisi zakonu noszącego nazwisko tegoż świętego, kiedy wypędzeni przez Duńczyków, przebiegli część Szkocji, unosząc relikwie swego patrona i nareście osiedli w Durhamie. Każde mieysce ich odpoczynku w ciągu téy pielgrzymki, miano za święte, zbudowano tam kaplicę i domki pu-

stelnicze, a ci, którzy mieszkali w ich sąsiedztwie, chlubili się z tego. Jednym z naysławniejszych było pustelnictwo Śgo Kuthberta, do którego zmierzał Roland Groemes.

Leżało na zachodzie wielkiego opactwa Kennaquhair i zależało od niego. Tuż przy domku, było zródło któremu przypisywano dzielność lekarską, i mniemanie to nie było bez korzystnym dla pustelnika mieszkającego tam: bo któryby mógł się spodziewać cudownych skutków téy zbawiennéy wody, ieżeliby nie złożył iakiéy ofiary pustelnikowi, będącemu iakoby iego stróżem? Kilka zagonów żyznej roli, tworzyło mu ogrodek. Wzgórze pięknem drzewem porosłe, wznosiło się za celą i zasłaniało ją od północnych i zachodnich wiatrów. Drzwi zaś wychodziły na malowniczą dolinę, przez którą wiiąc się strumyk, ze szmerem traçał głązy znaydujące się na iego drodze

Domek był prosty ale nie dziki. Była to mała budowla gotycka, rozdzielona na dwie części, których jedna była pomieszkaniem, a druga oratorium pustelnika. Ponieważ nie wielu się ży świeckich śmiało mieszkać tak blisko granic, mnich z zakonu Śtey Marii przebywający w tym domku, bardzo był użyteczny całemu sąsiedztwu, dopóki religia katolicka miała w kraju przewagę: mógł bowiem żenić, chrzcić, i wszelkich udzielać sakramentów. Ale gdy od niejakiego czasu, wiara protestancka wzięła góre, przez roz tropność umyślił żyć w ukryciu i nie zwracać uwagi na siebie. Jednakże stan iego pomieszkania, gdy Roland Groemes przybył tam nad wieczorem, okazywał, iż ostrożność iego była nadaremna.

Z razu chciał Roland zapukać do drzwi, ale z wielkim podziwieniem swoim postrzegł, że były otwarte, gó-

ne zawiąsy wyłamano i tylko trzymały się na dolnych. Nieco zatrwożony tym widokiem, zawałał na pustelnika, lecz nie otrzymał żadny odpowiedzi. Obeyrzał zewnątrz domek, wprzód nim by się do niego wniósł odważył. Widać było, iż świeża powyrywano krzewy rosnące przy jego ścianach, połamano je i zdeptano. Okno wybity. Nareszcie ogródek, ten cel największy troskliwości pustelnika, wystawał tylko smutny obraz zniszczenia.

Zdrój święty nie ocalał także przed ręką niszczycieli. Pobożność lat dawnych, nad tą dobrotą wodą wzniósła kopułę na kolumnach. Obalono ją, a kamienie rzucono w źródło, iak gdyby je zasypać chciano. Dach na domku pustelnika całkiem zerwano, a nawet usiłowano zwalić mury, czego dowodziły ślady młotów i oskardów, ale starożytne malarstwo

przemogło wytrwałość napastników i odstąpili od swoiego zamiaru.

Zwaliska starożytnych gmachów, kiedy czas naznaczył ie swoim piętnem, gdy natura stopniami pokryła ie pozostałytnemi ziołami, ieszcze mają piękność malowniczą i smętną. Ale kiedy widzimy okropne skutki świeżego spustoszenia, nic nie ułagadza przykrości tego widoku, i na taką to scenę z bolesnym uczuciem patrzał młodzieniec.

Ochłonąwszy z pierwszego podziwu, łatwo odgadł przyczynę tego zniszczenia. Burzenie kościołów katolickich, nie nastąpiło w jednym czasie w całej Szkocji. Zdarzało się w rozmaitych epokach, stosownie do tego jaki duch ożywiał kaznodziei reformowanego wyznania: bo iedni z nich zahęcali swoich słuchaczy do takich gwałtów, drudzy zaś rostropnieysi, chcieli zachować gmachy i nadać im inne przeznaczenie. Czasami pospół-

s two iakiego miasta albo wioski, podżegane źle zrozumianym zapałem, zburzyło ustronny kościół albo kaplicę, która dotąd stała nieuszkodzona. Jedni uważali burzenie tych gmachów iako czyn religiyný sprawiedliwości, drudzy iako krok polityczny; ale to pewna, że zniszczenie starożytnych gmaehów, wzniesionych przez wspaniałość i pobożność wieków przeszłych, w kraju tak ubogim iak Szkocya, i nie mającym żadnych środków do ich podzwignięcia, było nieużytecznym gwałtem, prawdziwem barbarzyństwem.

Spokoyne i ustronne życie pustelnika Sgo Kuthberta, ochroniło go dotąd od powszechný klęski; ale zniszczenie doszło nareście i do niego. Roland niespokoynie pragnąc wiedzieć, czyli szanowny zakonnik nie doznał iakiény osobistéy przygody, wszedł nareście do domku na pół rozwalonego.

Wewnętrzny stan iego, odpowiadał

spustoszeniu zewnatrz. Połamano niewieliczne sprzęty pustelnika i rozniecono niemi wielki ogień, ażeby spalić drewnianą statuę Śgo Kuthberta, którysy szczątki leżały ieszcze na ognisku. W oratoryum, ołtarz obalceno, a cztery wielkie kamienie co go składały, rzucono na podłogę. Wielki kamienny krucifix stojący we framudze za ołtarzem, wyciągnięty był z niény, i padając na ziemię rozbił się na trzy części.

Roland Groemes wychowany tajemnie w zasadach religii katolickiej, iak o tem wie czytelnik, ze wstrem ujrzał skutki takiego świętokradztwa.

— Jest to zakład naszego odkupienia, bezbożne ręce śmiały go znieważyć! Gdyby mi Bóg račzył dodadź siły ažebym go podwignął i postawił na miejsci swoim!

Natychmiast wziął się do roboty; podwignął, chociaż nie bez trudu, niższą część Krucifixu i postawił ią na

ogromnym głazie, który mu za podstawę był służył. Zachęcony tém pierwszym powodzeniem, użył wszelkich sił do podzwignięcia drugiéy połowy, na której był wizerunek Zbawiciela, i nie mało sam się zadziwił kiedy zdołał postawić go na pierwszéy. Tylko co dokończył téy ciężkiéy pracy, usłyszał znany głos: — Bardzo dobrze, dobry i wierny sługo! przy takiéy to pracy lubię znaleźć ukochane moie dziecię, nadzieję moię starości.

Roland obrócił się, i poznał olbrzymią postać Magdaleny Groemes. Miała na sobie szeroką suknię podobną do tych, które noszą pokutnicę w kraich katolickich, ale czarnego koloru i skronioną nakształt pielgrzymskiego płaszczu; o ile rostropność dozwalała czynić to w kraiu, gdzie samo podejrzenie o katolicyzm, w niektórych powiatach narażało na naywiększe niebezpieczeństwa. Padł iey do nóg, podniosła go, uści-

skała czule, ale z twarzą poważną i prawie surową.

— Zachowałeś świętą prawdę w łonie twoim, rzekła do niego; w dzieciństwie, w młodości, strzegłeś wiary twojej pośród heretyków; pośród nieprzyjaciół dochowałeś twojej tajemnicy i moię. Płakałam rozstając się z tobą; ja która rzadko łzy wylewam, gorzko płakałam, zostawiając cię pomiędzy heretykami. Nie śmiałam nawet pożegnać się z tobą, wydałoby mnie zmartwienie moje. Lecz dochowałeś wiary. Uklęknij, uklęknij powtarzam, przed tym znakiem zbawienia, który znieważają złośliwi, i podziękuj świętym i aniołom, iż cię zachowali od zarazy trądu, którym są dotknięci wszyscy mieszkający domu gdzieś był wychowany.

— Matko, odpowiedział Groemes, to imię zawsze nadawać ci będę; ieżeli iestem takim jakiego widzieć pragnęłaś, winienem to troskliwości szano-

wnego ojca Ambrożego, on to utwierdził mię w zasadach, które we mnie wcześniej wpoiłaś, on to zarazem nauczył mię bydż wiernym i milczec.

— Niechay go Niebo błogosław! zawoała, niechay go błogosław w iego celi i na świecie, na kazalnicy i przy ołtarzu! Niechay wszyscy Święci zlewają nań swoje błogosławieństwa! Ale ojciec Ambroży nie wie kim iestes?

— Jakże mu to wyiawić mogłem? Dałem mu tylko do zrozumienia, że sir Albert Glendinning posiada moje dziedzictwo, i że krew płynąca w moich żyłach, tak iest szlachetna iak któregokolwiek barona szkockiego. Nigdy o tym nie zapomniałem, ale od ciebie samym mogę spodziewać się zupełnego objaśnienia.

— A kiedy czas przyjdzie, nie będziesz go żądał nadaremnie; ale mój synu, powiadaią, żeś iest prędkim i burzliwym; a ludziom takiego chara-

kteru nie można płocho powierzać tajemnic, które ich mocno wzruszyć mogą.

— Powiedz raczey matko, że iestem cierpliwym i wszystko znieść mogę. Do iakiegoż wysilenia zdolnym nie będzie ten, który przez tyle lat słuchał iak wyszydzano i znieważano jego religią, a nie utopił sztyletu w łonie bluźniercy?

— Mój synu wszystkiego spodzieway się po czasie i okolicznościach. Zbliża się chwila przesilenia. Wielkie wypadki nastapią, w nich mieć będziesz udział. Już więc nie zostajesz w służbie lady Avenel?

— Odprawiła mię. Dożyłem tego że mię oddalono iak naynikczemniewszego sługe.

— Tem lepiej moje dziecie, wiecęy będziesz mieć siły do przedsięwzięcia tego co ma bydż wykonanem.

— Oby tylko nie przeciw lady Avenel, czego obawiam się słysząc słowa

twoie matko. Zawołał Roland z zapałem. Jadłem ię chleb, obsypany byłem ię dobrodzięstwami, niewdzięcznością nie odpłacę za nie.

— Próźne to słowa mój synu, ale naucz się że nie możesz układać się z powinnością twoią, nie możesz mówić: to uczynię, tego nie uczynię; Bóg i ludzie nie ścierpią dłużey przewrotności teraźnięszego pokolenia. Czy widzisz te zwaliska? czy wiesz kogo wyobrażały? I możeszli mniemać, że ci wolno wybierać między rodem przeklętym od Boga, który gwałci, bluźni i niszczy wszystko, co nam rozkazano szanować?

To mówiąc schyliła głowę przed Krucifixem, a ię rysy wyrażały osobliwsze połączenie entuzjazmu, gorliwości religijnej i zawziętego gniewu. Podniosła rękę, iakoby ślub chcąc uczynić, i zwołała: — Day świadectwo moim słowom! wielki święty, w tym

znieważonym przybytku! ty, który także  
błakałeś się i uciekałeś iak my teraz;  
daj mi świadectwo Matko Boska  
Królowo nieba! i wy święci aniołowie  
że iak nie przez ducha zemsty, ścigam  
tych bezbożników, tak żaden wzgląd  
ani uczucie ziemskie nie odwiedzie mię  
od wymierzenia im zasłużoné kary!  
A z entuzyazmem wymawiając te słowa,  
wzniosła iskrzące się oczy ku gwiazdom,  
które zaczynały świecić na niebie: a  
długie iéy siwe włosy spływały po iéy  
ramionach, miotane wiatrem wpadającym  
dowoli przez zrzucony dach i wybitne  
okna.

Roland Groëmes, nawykł wcześnie  
do tajemniczego sposobu mówienia  
Magdaleny, i z doświadczenia bardzo  
dobrze wiedział, iż naprzóźno pytałby się  
o znaczenie tych ciemnych wyrazów: i  
ona nie mówiła iuż więcej o tym przed-  
miocie, a skończywszy modlitwę albo ra-  
czę zaklęcie, przybrała ton zwyczajny  
rozmowy.

— Trzeba wyruszyć w drogę Rollandzie, ale dopiero iutro rano. Jakże tu noc przepędzisz? — Od kilku lat, nazwyczałeś się do posłania daleko miększego, niż to, któreś miał wtedy czas, kiedyśmy razem przebiegali góry Kumberlandu i Lieddesdale.

— Nie zapomniałem o tem nazwycaieniu, moia dobra matko, umiem spać na goły ziem i pogardzać ostrością pór roku. Od czasu rozstania się naszego, bywałem rybołowcą i myśliwym, a kto się zajmuie taką zabawą, musi nie raz, ieszcze niewygodniej nocować, aniżeli w schronieniu, które tu nam pozostawiło świętokradztwo.

— Które nam świętokradztwo pozostawiło! powtórzyła Magdalena z przyciskiem. Smutna to prawda mój synu; wierne dzieci Boga nie znayduią nawet schronienia w domu Pana, w domu iego świętych. Zimną tu noc przepędziemy, wystawieni na wiatry,

świszczące wszystkimi wyłomami, które kacerstwo poczyniło w tych murach, ale ci, którzy ie poczynili, mieć będą gorętsze łóże i nie opuszczą ie przez całą wieczność.

Mimo zapału i dziwactwa swoiego, Magdalena zachowała dla Rolanda, tę baczną tkliwość którą, kobiety mają zwykle zaznaczenie dla swoich wychowanków; zauważało się że chce koło niego podejmować też same starania, iak podezasiego dzieciństwa, i że Rolanda już w młodzieńczym będącego wieku, uważa iak dziecię wymagające tedyż samę pieczy, co w pierwszych latach iego życia.

— Musisz bydź głodny, rzekła do niego, wychodząc z oratoryum do izdebki pustelnika; potrzebowałbyś ognia ażeby się uchronić od zimna i wiatru. Biedne dziecię! przedsięwziąłeś długą podróż bez zapasów i nie umiesz ieszcze sobie poradzić. Ale Ma-

tka Boska umieściła przy boku twoim osobę, która tak nawykła do niedostatku i potrzeby, iak niegdyś do świętości i wygód; a niedostatek to Rolandzie iest oycem przemyślu.

Z czynnością więc, tak sprzeczną obok powagi, którą okazała przed chwilą, zaczęła przygotowania czynić na wieczór. Ze skórzaný kieszeni, zawieszoný pod suknią, wyciąga krzesiwo, a szczałki sprzętów pustelnika oficjalnie dostarczały iey drzewa: ma się rozumieć, że naytroskiwiéy oszczędzała reszty posagu Śgo Kuthberta.

Gdy ogień zabłysnął na ognisku opuszczoný celi: — Teraz, rzekła, pomyśleć trzeba o wieczerzy.

— Niemyśl o tém matko, rzekł Roland, chyba dla siebie samý. Łatwo obeydę się bez iadła przez tę noc, będzie to słaba pokuta za to, żem tyle razy przestąpił przykazania kościelne, którego to grzechu podczas pobytu w zamku

Awenelów tyle razy dopuściłem się mimo woli moiéy.

— Chyba dla mnie saméy! powtórzyła Magdalena: naucz się młodzieńcze, iż matka nie zna głodu dopóki głód iéy dziecięcia zaspokoionym nie zostanie. Rolandzie, przydała tonem dobroci, odmiennym od iéy zwyczajnego sposobu mówienia, ieszcze nie powinieneś pościć, twój wiek uwalnia cię od tego. Młody iestes, a młodość nie obedydzie się bez pożywienia i snu. Oszczędzaj sił twoich móy synu. Monarcha, oyczyna i religia, tego wymagają od ciebie. Niechay wiek dojrzały poddaie niewywczasom i postom ciało do cierpienia przeznaczone, ale młodość, zwłaszcza w tych przykrych czasach, powinna rozwijać i utrzymywać siły, których iéy potrzeba.

To mówiąc, z téyże saméy kieszenni wyjęła żywność, ale się iéy nie tknęła i doznawała epikureyskiéy rosко-

szy widząc iak Roland iadł z apetytem, zaostrzonym dzienną podróżą i postem. Lecz gdy się zapytał, dla czego nie podziela z nim tak oszczędny wieczerzy? wstrząsła głową, i poważną postać przybrała.

— Młodzieńcze nie wiesz z kim i o czém mówisz. Ci, którym Niebo objawia swoje zamiary, powinni przez umartwienie zmysłów na tą łaskę zasłużyć. Znayduią wewnętrz siebie to, co ich uwalnia od zbytku żywności ziemskiej, potrzebný tym, którzy są za obrębem objawienia. Noc przepędzona na modlitwach, iest dla nich najsłodszym spoczynkiem, a w ścisłém poznaniu woli Nieba, znayduią hoyniészą biesiadę nad tą, którą królowie ziemi zastawić mogą. Ale ty mój synu, przydała znowu tonem przywiązania macierzyńskiego, w młodości potrzebujesz orzeźwiającego snu; o troskach dziennych powinieneś zapomnieć w spo-

czynku nocnym. Obowiązki twoie tak różnią się od moich, iak środki któremi ie wypełnić mamy. Potrzebuiesz sił ciała, a ia tylko mocy duszy.

To mówiąc, poruszała suche liście, które dawniény tworzyły posłanie pustelnika i przychodniów szukających u niego przytułku, a które, niszczyciele iego skromný celi, nietknięte zostawili w kącie. Okryła ie porozdzieranemi sukiami, które leżały porozrzucane na podłodze, lecz troskliwie odkładała na bok szczętki ozdób kapłańskich; i tak usłała nareście łóżko, które mbą żaden utrudzony podróžny nie pogardził. Roland chciał iey kilkakrotnie dopomódz; lecz z nieią cierpkością odrzucała pomoc iego, i gdy iey upraszał, ażeby sama położyła się na tem posłaniu: — Śpiy Rolandzie, rzekła do niego, śpiy wydziedziczona i prześladowana sieroto;

synu zbyt nieszczęśliwéy matki; śpiy, gdy ia tymczasem modlić się będę przy tobie w oratoryum.

Jéy postać, mowa, wyrażały taki entuzyazm i silną wolę, iż Roland nie mógł się opierać. Jednakże ulegając iéy, doznał niejakiego uczucia wstydu. Zdawało mu się, iak to iuż namieniliśmy, że zapomniała o latach upłyńionych od czasu ich rozłączenia, i że w młodzieńcu nawykłym do rządzenia się swoją wolą, zepsutym przez zbyteczne pobłażanie, spodziewała się znaleźć to posłuszne dziecko, które zostawiła w zamku Awenel. Musiało to zranić wrodzoną dumę Rolanda. Jednakże wspomnienie dawnéy uległości, połączonéy z uczuciem wdzięczności i przywiązania, zrzędziło, że posłusznym był iakoby przez instynkt, ale wzniósły umysł iego oburzył się na to iarzmo.

— Czyliżem dla tego porzucił psy i soły, pomyślał, ażeby zstać iéy niewol-

kiem, iak gdybym ieszcze był dziecięciem? — Zazdrośni towarzysze uznawali moje wyżośc we wszystkich ćwiczeniach, których się z takim trudem uczyć musieli, a ja zaś wykonywałem je bez nauki, iak gdyby moim przyrodzonem były dziedzictwem. To bydź nie może, to bydź nie może! Nie zostanę iak sokoł, co go zakapturzonego kobieta nosi na ręce, i odsłania mu oczy dopiero w téy chwili, kiedy rzucić się ma na upatrzoną zdobycz. Muszę wprzody poznać ich zamiaty, nim dopomagać im zechęę.

Takie to myśli przez długi czas zamywały Rolanda Groemes, i mimo utrudzenia, zasnął bardzo późno.

---

\*\*\*\*\*

## RÓZDZIAŁ IX.

Przyrzekłeś, więc na świętą naszey wiary księę, —  
Uroczystą kleczący wykonay przysięę;  
Inaczey nie zawierze przyczeczeniu twemu.

*Dawna Komedya.*

Po śnie głębokim, zwykle następującym po wzruszeniach i trudach, obudziło Rolanda chłodne powietrze poranku, i promienie wschodzącego słońca. Rozmarzony ieszcze, zdziwił się z razu, ujrzawszy, zamiast powierzchni jeziora: który to widok miał z okna swoiego pomieszkania w zamku Awenel: spustoszony ogród pustelnika. — Przetazł sobie oczy, usiadł na łóżu z liści, i przypomniał sobie wypadki dnia poprzedzającego. Im więcej za-

stanawiał się nad niemi, tém się dziwaczniejszemi wydawały. Tegoż samego dnia utracił opiekunkę swoiéj młodości, i znalazł tę, która w dzieciństwie była iego iedyną podporą. **Czuł**, że pierwsza z tych dwóch okoliczności będzie dla niego wieczną przyczyną żalu, a nie wiedział czyli ma cieszyć się z drugiéj. Przypomniał sobie, że ta kobieta, która zastąpiła dlań mieysce matki, była tak namiętnie do niego przywiązana, iak samowładną w wykonywaniu władzy swoiéj; pamiętał, że iego przywiązanie do niéy, łączyło się z boiaźnią; obawiał się ażeby nie chciała znowu despotycznie rządzić wszyskimi iego czynami: iéy wcziorysze postępowanie utwierdzało go w tém mniemaniu, a myśl ta umniejszała w jego sercu radość z tego spotkania.

Nie zechce, tak szeptała do niego duma, prowadzić mię iak dziecię, teraz kiedy doszedł iuż do wieku, w którym oceniać mogę własne czyny. —

Nie może tego chcieć, a gdyby chciała, uyrzałaby, iż się dziwnym sposobem zawiodła.

Uczucie wdzięczności dla téy, przeciw który tak oburzała się iego duma, zatrzymał go pośród tych uwag. Odrzucił myśli, mimowolnie powstające w iego głowie, iak podszepty złego ducha. — Chciał znaleźć w modlitwie, nowe środki, przez które wyszedłby zwyciężą z téy walki; szukał róžańca, lecz postrzegł iż go zapomniał w zamku Awene.

Co raz to gorzéy, pomyślał: poleciła mi dwie rzeczy pod pieczęcią naygłębszéy tajemnicy: abym odmawiał róžaniec, i abym nikomu o tem nie powiedział. Aż dotąd słowa moiego dotrzymałem. Ale kiedy się zapyta, gdzie jest móy rożaniec, będę musiał powiedzieć żem go zapomniał. Czyliż mi uwierzy, żem dochował tajemnicy względ-

dem wiary moiéy, kiedym nie był tro-skliwym o iéy godła?

Z pomieszaniem przechadzał się po celi. Przywiązany był do swoiéy religii, za nicby w świecie nie odstąpił iéy, ale nie ożywiął go ten sam zapał, który przeymował Magdalenę Groemes. Natura obdarzyła go doskonałą pamięcią i nie zapomniał nigdy o pierwszych naukach, które od babki swoiéy otrzymał. Chociaż był w tenczas dziecięciem, chlubił się z zaufania które mu okazywała, i postanowił iż go nie zawiedzie. Było to jednakże dziecięce tylko postanowienie, i uległoby powoli przykładom i naukom, podeczas iego pobytu w zamku Awenel, gdyby go nie utrzymywały napomnienia oycia Ambrożego, niegdyś Edwarda Gendining. List bezimienny oddany mu przez ręce pielgrzyma, uwiadomił go, że dziecię wychowane w wierze kato-lickiéy, znaydowało się w zamku Awe-

nel. pośród heretyków, w położeniu tak niebezpiecznym, iak troyga dzieci wrzuconych do ognistego pieca, i wkładał nań odpowiedzialność za zgubę tego baranka, ieżeli stanie się łupem drapieżnych wilków w iaskini, gdzie go mimo woli zostawiono.

Myśl ta, że iedna z dusz może bydź w niebezpieczeństwwie, że katolik może odszczepieniem zostać, zapalała gorliwość zacnego zakonnika. Częścię więc zaczął przychodzić do zamku: obawiając się, ażeby dla braku zachęty i nauki, niebo nie straciło iednę duszy, a kościół rzymski prawowiernego członka.

Krótkie tylko i rzadkie rozmowy mógł mieć z Rolandem. Wystarczały one do utrzymania go w wierze, ale nie mogły wzbudzić w nim ślepego przywiązania do zewnętrznych obrzędów katolicyzmu. Przywiązany był do swojej religii, bardziej dla tego, iż

wstydziłby się nie dostrwać w wyznaniu oyców, aniżeli z powodu głębokiéy wiary w iéy tajemnice, które ledwie znał, albo raczéy nie znał wcale. Wiara ta, w iego wyobrażeniu tworzyła przedział między nim a temi pośród których żyć musiał. Wyobrażenie to pochlebiało iego miłości własnej i wpiaiało w niego pogardę dla tych, których sposobu myślenia nie podzielał.

Kilkakrotnie słyszał był Henryka Wardena powstającego gwałtownie przeciw nadużyciom kościoła rzymskiego. Fanatyk ten (pomyślał wówczas) nie wie, z iaką pogardą i wstrętem słucham iego bluźnierstw przeciw téy świętéy religii, którą tylu męczenników uścięciło krwią swoią.

Wiara Rolanda Groemes polegała więc iedyńie na pogardzaniu kacerstwem i temi co ie rozszerzali. Religia ka-

tolicka łączyła się w iego umyśle z wyobrażeniem niepodległości, a religia protestancka z ochydną uległością zdaniom bliźniego i zagorzyłego kaznodziei. Z resztą, nie znał ani tego iaka różnica zachodzi pomiędzy dwoma wyznaniami ani jakie są szczególne każdéy z nich dogmata, i nikt mu ich wytłumaczyć nie mógł.

Żałość więc iego, gdy postrzegł, że zapomniał rożnika, przysłanego mu przez ojca Ambrożego, podobną była raczey do wstydu żołnierza, który zgubił swoją kokardę, aniżeli do zmartwienia człowieka religijnego, który stracił widzialny symbol wiary swojej.

Wypadek ten mocno go dotknął, tem bardzię, iż obawiał się ażeby Magdalena nie postrzegła iego niedbalstwa: bo nie mógł wątpić, że ona to skrycie przesłała ten rożaniec ojcu Ambrożemu i wyobrażała sobie, iż Roland wielką wagę przywiązuje do iey darów. Nie

omieszka spytać się o niego, rzekł sam do siebie; wiek bowiem powiększył zapewne ię gorliwość, a moia odpowiedź ię gniew obudzi.

Gdy w takich myślach był zagłębiony, Magdalena Groemes weszła do celi.

— Niechay błogosławieństwo niebios zstąpi na głowę twoię z początkiem dnia dzisiejszego mój synu, rzekła tonem wyrażającym pobożność i tkliwość. Czyliżeś dla tego wstał tak rano ażeby cieszyć się widokiem pierwszego promienia iutrenki? Nierostropnie postępuiesz mój synu. Nie dobrze czynisz Rolandzie, spoczywaj póki możesz, wkrótce czuwania i niewczasy staną się twoim, równie jak moim udziałem.

Wyrzekła te słowa z uczuciem i niespokojnością, okazującą, że ieżli nabożeństwo było zwyczajnym zatrudnieniem ię umysłu, dziecię, które wychorała, ieszcze przywiązywało ją do ziemi, uczuciem i namiętnością ludzką.

Lecz nie na d&ug; odda&ła si&ę temu po-p&edowi, który uważa&ła iako chwilowe ust&apienie od obowiązków: — Idzmy młodzieńcze, rzekła do niego, idzmy.

— Gdzie& p&oydziemy, zapyta&ł si&ę Roland, iaki& iest cel naszey podró&ży?

Magdalena cofnęła si&ę o krok i sporyza&ła na&n z podziwieniem i niech&cią:

— Na co&z si&ę pytasz o to; czyli& ci nie dosy&c, &e ci& prowadz&? Po to&ze&tak d&ug; ży&l z niewiernemi, a&eby&s nauczy&l si&ę pr&o&żno&cią twego w&la&nego sądu, zast&epowa&c uszanowanie i posłusze&stwo?

Oto iest, pomy&la&ł Roland, chwila, w ktor&ey, albo powinienem zapewni&c wolno&ć moi&ę, albo te&z na zawsze zosta&c niewolnikiem. Czu&ę i&z d&lu&żey odwleka&c nie mog&ę.

Lecz Magdalena wracaj&c nagle do przedmiotu, który wy&łacznie zaymowa&ł i&ę my&li: chocia& nikt lepi&ę nie umia&ł utai&c swoi&ę religii, kiedy tego by&ło

potrzeba, zapytała się. — A twój różaniec mój synu? Odmówiłżeś go dziś rano?

Rumieniec wysiąpił na twarz Rolanda, czuł, iż burza nadchodzi, jednakże nie chciał iść unikać kosztem prawdy.

— Zapomniałem różańca moiego w zamku Awenel.

— Zapomniałeś różańca! nie dopełniłeś więc zarazem obowiązków religii i natury, zgubiłeś zakład naczyszszey troskliwości, zakład przysłany z tak daleka, i z takiem narażeniem się! Każdeiego ziarnko powinno było droższem bydź dla ciebie aniżeli żrenica w oku.

— Żałuję bardzo tego przypadku, moja matko; podarunek od ciebie pochodzący, bardzo szacownym był w oczach moich. Z resztą spodziewam się, że z czasem posunę się dalej i potrafię wynagrodzić stratę kilku ziarnek złota. Tymczasem różaniec drewniany równie mi będzie użytecznym.

— Kilka ziarnek złota! zawałała Magdalena; tak młody czyliż uczył się iuż w szkole szatana? Różaniec poświęcony przez samego Ojca Świętego, nie iestże niczém więcey w twoich oczach, tylko kilkoma ziarnkami złota? I możesz wynagrodzić tę stratę dziełem światowej ręki? Toż samo powiedziały Henryk Warden, ów dрапieżny wilk, który szerzy zniszczenie w trzodzie dobrego pasterza.

— Nie wiedziałem o téy okoliczności moia matko, ale chociaż bardzo żałuję téy straty, nie mogę iéy zaradzić.

— Ale przynajmniény możesz tego żałować, zamiast patrzec na mnie tak spokoynie iak gdybyś zgubił guzik od sukni.

— Szczerze żałuję moia matko i wy pełnię taką pokutę iaką mi naznaczyysz. Jez czegoż więcey żądać możesz? Lecz moia matko, przydał po chwili, nie

gnieway się na mnie ieżeli po drugi raz zapytam się gdzie idziemy i iaka jest pobudka naszey podrózy. Nie jestem iuż dzieckiem, ale mężczyzną, panem wszystkich moich kroków, mam szabłę przy boku i pierwszy mech na brodzie. Póydę z tobą matko, aż na koniec świata ieśli tego zażadasz. Ale powiniensem wiedzieć gdzie miej zaprowadzisz.

— Powinieneś wiedzieć! Niewdzięczne dziecię! zawałała Magdalena z gniewem, a gniew ten powrócił na ię lica kolory które wiek iuż oddawna był zatarł. Nic nie winieneś, nic nie możesz bydź winien samemu sobie, boś mnie wszystko jest winien, wychowanie twoie w dzieciństwie, utrzymywanie przez lat dziesięć, nauki od tego czasu odbierane, wszystkie twoie nadzieje szczęścia i chwaly w przyszłości. Zamiast cobyś miał opuszczać świętą sprawę, do której

cię przeznaczyłam, wolałabym żebyś padł trupem przy nogach moich.

Moc z którą wyrzekła te słowa zatrwożyła Rolanda. Wszystkie ię członki drżały i zdawało się, że nie zdoła znieść tak gwałtownego wzruszenia. Czempredzey odpowiedział: — Nie zapomniałem ci winien iestem matko, powiedz mi czy krew moja zdoła dowieść moię wdzięczności, a zobacysz czyli będę ię oszczędzał; lecz ślepe posłuszeństwo równie iest bez zasług jak bez rozsądku.

— Święci i aniołowie! zawałała Magdalena, czyliż muszę słuchać tych wyrazów z ust dziecictwa w którym wszystkie położyłam nadzieję, dziecictwa przy którego kolebce klęcząc, trudziłam wszystkich świętych w niebie moimi modlitwami? Rolandzie, jedynie przez twoje posłuszeństwo możesz mi dowieść twojej wdzięczności i przywiązania. Jakaż miałbyś za-

slugę gdybyś poznawszy moie pobudki,  
wskazaną postępował drogą. Wten-  
czas powodowałyby tobą nie rozkazy  
moie, ale twój własny sąd; nie wyko-  
nywałbyś woli Boga, objawioney ci przez  
najlepszą twoję przyaciółkę, przez tę,  
którey zupełnie oddać się powinieneś,  
szedłbyś tylko za ślepemi radami sła-  
bego twego rozumu. Słuchay mię  
**Rolandzie**, przeznaczenie cię wzywa,  
nagli, rozkazuie; naychwalnieysze  
przeznaczenie do iakiego człowiek zmie-  
rzać może, mówi do ciebie głosem two-  
iény najlepszey, naypierwszey, iedyney  
przyaciółki, czyliż mu się opierać bę-  
dziesz? W takim razie ustąp, zostaw  
mię w tem miejscu; moie nadzieie na  
tym świecie zwiędły i zniszczały: u-  
klęknę przed tym znieważonym ołta-  
rzem, a kiedy kacerze powrócą, zbro-  
czą go krwią męczennicy.

— Nie, moia matko, rzekł Roland,  
przypominając sobie podobne sceny

entuzjazmu i gwałtowności, których niegdyś był świadkiem, nie opuszczę cię, zostanę przy tobie cały świat nie zdoła oderwać mnie od ciebie. Będę cię bronił, zasłaniał, żył przy tobie albo razem z tobą zginę.

— Jedno słowo mój synu byłoby więcej warte, aniżeli wszystkie te oświadczenia, powiedz mi tylko, będę posłusznym.

— Tak jest moja matko, będę posłusznym, nie wątp o tem, z całego duszy moię, lecz...

— Dosyć na tem mój synu, rzekła Magdalena przerywając mu. Wymagam od ciebie zupełnego bezwarunkowego posłuszeństwa. Błogosławię cię, żyjący obrazie ukochanej córki, za to żeś mi dał przyrzeczenie, które tak wiele kosztuje pychę mężczyzn. Zaufaj we mnie i dowiedz się, że w zamiarze do którego należeć powinieneś, mieć będziesz za sprzymierzeńców

się i potęgę, władzę kościoła i dumę szlachty. Czyli się powiedzie czy upadnie, imię twoie zapisane będzie w liczbie tych, z którymi równie pożądany iest upadek iak zwycięstwo. Idźmy więc, idźmy, życie iest krótkie, a nasz zamysł długich prac wymaga. — Święci, aniołowie i całe błogosławione woysko nieba, w téy chwili wlepiają oczy w tę nie żyzną i opłakaną ziemię Szkocy. Co mówię, w ziemię Szkocy! wlepiają oczy w nas Randalie, w słabą kobietę, w niedoświadczonego młodzieńca, w nas, co pośród zwalisk, którymi świętokradztwo napuściło te mieysca, poświęćamy się sprawie Boga i prawego monarchy. Święci i męczennicy, świadkowie naszego postanowienia, zobaczą, iż przywiedziemy go do skutku, albo też usłyszą nasze ostatnie westchnienia, wyzionione za świętą sprawę.

To mówiąc, silnie trzymała Randalie,

da za rękę, drugą wzniósła ku niebu iak gdyby nie chciała zostawić żadnego sposobu oparcia się temu uroczystemu ślubowi, który w iego i w swoim wymawiał imieniu. Gdy zakończyła to że tak powiem oświadczenie uczuć swoich, nie dała mu czasu ani do wahania się, ani do nowych zapytań; lecz nagle przechodząc do przedmiotu odmiennego! wecale, przybrała ton macierzyńskię czułości i obsypała go pytaniem względem pobytu w zamku Awenel i rozmaitych talentów które tam nabył.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze: rzekła dokonczywszy badania: widzę że mego sokoła dobrze wyuczono, i że potrafi tak wysoko wzlecić, iż ci, którzy podjęli się iego wychowania, równego postrachu iak podziwienia doznawać będą. A teraz posilmy się; mniejsza o to, że nasza żywność iest szczupła. Kilka godzin drogi zapro-

wadzi nas na mięsce, gdzie nam niczego nie będzie brakówkć.

Zjedli na śniadanie resztę swoich zapaśów z dnia wczorajszego, po czém wyruszyli w drogę. Magdalena postępowała silniejszym i lżejszym krokiem, aniżeli po iéy latach spodziewać się było można; a Roland szedł za nią zamyślony i niespokojny, niekontent z podległości, w którą popadł znowu.

— Zawszeż więc, mówił sam do siebie, mam bydź dręczony żądzą niepodległości i swobody, i czyż zawsze okoliczności zmuszać mię będą do ulegania woli drugich?

---

\*\*\*\*\*

## RO ŻDZIAŁ X.

Obrała sobie zakąt nieznany,  
 Zdala od świata od wielbicieli,  
 I od kochanków, choć iéy kaydany  
 Wszyscyby chętnie dźwigać pragnęli.

*Wordsworth.*

Podróžni' nasi nie rozmawiali z sobą  
 przez drogę. Magdalena, kiedy nie-  
 kiedy śpiewała po cichu, te piękne hy-  
 mny łacińskie, które przyjął kościół  
 katolicki, potém odmawiała Oycze nasz  
 lub Zdrowaś Marya, i nareście zaymo-  
 wała się religijnemi rozmyślaniemi.  
 Jéy wnuk dumał o przedmiotach bar-  
 dziéy światowych. Kiedy kaczka dzika  
 zrywała się z bagna, myślał o Adamie  
 Woodcock i o iego sokołach; ieże-  
 li przechodził koło lasu, którego

drzewa i krzaki tworzyły nieprzebytą gęstwę; wyobraźnia iego zaludniała ią danielami i ieleniami, żałował że nie ma psiarni aby na nie polować. Lecz daleko częściami, wyobrażenia iego zwracały się do iego łaskawej i dobroczynnej pani, którą opuścił, sprawiedliwie rozgniewaną przeciw niemu i bynajmniej nie starał się być odzyskać jej przychylności.

Lżejszym krokiem postępowałem, myślał sobie, i z moiego serca spadłby wielki ciężar, gdybym ią mógł zobaczyć na chwilę i powiedzieć ją: Milady, sierota którym się opiekowałaś, mógł być szaleńcem, ale nigdy nie był nie-wdzięcznikiem.

Tak pograżeni w myślach, przeszli koło południa do małej wioski, której domy stały rozproszone tu i ówdzie, i w której było parę mieszkań w kształcie wieży zbudowanych, dla obrony przeciw napaści nadgranicznych tuła-

czów. Strumień płynął koło wioski. W pewnej odległości od innych domów i przy końcu wioski, był gmach zaniedbany bardzo i prawie rozwalony; ale, iak się zdawało, służył dawniętym mieszkańcom osobom. Położenie iego bardzo było przyjemne, przed wniściem rosły cztery wielkie figo-morwy, a ich zieloność, nie tak ponurym czyniła widok tego domu, wystawionego z głązów ciemno-czerwonego koloru. Dom ten bardzo był obszerny, i iak się zdawało, za wielki dla iego teraźniejszych mieszkańców, bo znaczną część okien, a zwłaszcza na dole, zamurowano, inne zaś opatrzone były grubą żelazną kratą. Podwórze otoczone murem w wielu miejscach powyłamywanym, było wybrukowane lecz oset, pokrzywy i inne zielska rośliny na nim w takię obfitości, iż wyglądało iak rola od wielu lat zapuszczona. Również zaniedbano innych ie-

szcze wažniejszych przedmiotów, co dowodziło nadzwyczajnej gnušności, albo ubóstwa iego właściicieli. Strumień podmywszy powoli róg muru, obalił go razem z wieżą zbudowaną w tém mieyscu; zwaliska zasypały iego łóże, i zmusiły do wynurkowania innego tuż przy domu, które także fundamentom zagrażało, ieželiby prędko nie wzniesiono tamy, dla oparcia się iego zniszczeniom.

Zbliżali się do tego domu krętą ścieżką, i mogli mu przypatrzyć się z rozmaitego punktu, a ten widok zwrócił uwagę Rolanda Groemes.

— Ježeli udaiemy się do tego domu, rzekł do swojej babki, to zapewne nie na długo, bo zdaie się, że dwa dni mocnej ulewy, wystarczyłyby do obalenia go w rzekę.

— Patrzysz tylko oczyma ciała, odpowiedziała Magalena. Bóg bronić będzie tego co do niego należy, mimo

pogardy i niezgody ludzi. Lepiéy iest budować na piasku pokory chrześciańskiéy, aniżeli na skale zarozumienia ludzkiego.

To mówiąc, wchodzili na dziedziniec leżący przed domem, a Roland mógł uważać, że iego facyatę ozdabiały dawniéy rzeźby, z tegoż samego kamienia czerwonego wykute, ale wszystkie te ozdoby rozbito, a szczątki framug i podstaw, wskazywały tylko ich dawniejsze mieysce. Główne drzwi zamurowano, wązka ścieszka porosła trawą, prowadziła do otworu zamkniętego mocną furtą gwoździami opatrzoną.

Magdalena trzykrotnie do niéy zapukała zatrzymując się za każdym razem, dopóki nie odpowiedziano lżej szém uderzeniem, a za trzecim, chuda i blada kobieta drzwi otworzyła mówiąc: *Benedicti qui veniunt in nomine Domini.* Podróżni weszli; odźwierna zamknęła drzwi natychmiast i zasunęła ie na ogromne rygle.

Poprowadziła ich potém przez bardzo wązki przysionek do przedpokoiu, wybrukowanego flizami; a przy ścianach mającego ławy kamienne. Jedno tylko okno oświecało tę izbę; było wielkie i zaymowało całą prawie ścianę, ale składało się z małych szybek kolorowych, tak, iż nawet w południe, zmierzch panował w tym mieyscu. Tam pani domu: gdyż ona to otworzyła drzwi: zatrzymała się i uściiskała Magdalenę Groemes, nazywającą siostrą i okazując dla nię pełną uszanowania przychylność.

— Niechay błogosławieństwo Matki Boskiéy będzie z tobą moia siostro, rzeckła. Słowa te wskazałyby Rolandowi iakiego iest wyznania ich gospodyn, gdyby nawet mógł mniemać, że iego szanowna i gorliwa przewodniczka zatrzyma się gdzie indziej nie zaś u prawowiernych katolików. Jak się zdawało, przyjaciółka iego babcia miała pięćdziesiąt do sześćdziesięciu

lat. Jéy rysy oznaczały tę smętność, która będąc skutkiem nieszczęścia, przybiera często wyraz nieukontentowania, co szkodziło szezałkom piękności iakie widać było ieszcze na iéy twarzy. Odzież iéy była z grubéy materyi koloru szarego i iak nayprostszym kroiem, i także do sukni zakonnéy podobna. Wielkie ochédstwo równie w iéy ubiorze iak w osobie, dowodziło, że chociaż była uboga, nie popadła jednakże w tą nędzę, w której zaniedbuią ludzie wszelkich starań około siebie, i że iżeli nie miała wygód zbytkowych, przynymniéy nie zbywało iéy na koniecznych potrzebach. Jéy obeyście, ton, postawa, oznaczały wychowanie wyższe nad stan w którym się znaydowała: krótko mówiąc, każdy kto ją widział, musiał powziąć to wyobrażenie, iż historia takiéy kobiety ciekawą bydź powinna. I Rolandowina sunęła się ta uwaga, kiedy pani domu zbliżając się do

niego, z wielką nań spojrzała bacznością, a nawet, iak się zdawało, i z nieiakiem zaięciem.

— Więc to iest, rzekła do Magdaleny, dziecię twoié nieszczęśliwé córki, iegoż to, iedyny szczątek twego starożytnego rodu, chcesz poświęcić dobréy sprawie?

— Tak iest: odpowiedziała Magdalena ze zwykłą stałością: poświęcam go dobréy sprawie, z sercem i ramieniem, z duszą i ciałem.

— Szczęśliwą iesteś moia siostro, odpowiedziała pierwsza, że możesz tyle wznieść się nad uczucia światowe, ażebyś sama taką ofiarę do ołtarza poprowadzić mogła. Gdybym powołana była do takiego poświęcenia, gdybym musiała tak młode i zajmujące dziecię pograżyć w zamęcie intryg i krwawych kłótni naszego wieku, posłuszeństwo tak ciężkiem byłoby dla mnie iak nigdyś dla Abrahama.

Z politowaniem wpatrywała się w Rolanda. Jéy spojrzenia, przez tak długi czas w niego wlepione, zmieszały go, chciał ich uniknąć usuwając się z mieysca, lecz babka zatrzymała go, a rozdzielała włosy które mu czoło zakrywały: patrz na niego moja sioстро, rzekła, a iéy słowa wyrażały razem chlubę, czułość i mocne postanowienie. — Patrz na niego, bo nigdy ieszczе nie widziałaś szlachetniejszych rysów.— I ja także, widząc go doznałam uczuć światowych i zachwiałam się w moim postanowieniu. Ale wiatr nie może stracić liści z drzewa, które iuż zima ogołociła z zieloności, i żadne uczucie ziemskie nie może mieszać się do serca zupełnie przeiętego miłością Boga.

Jéy oczy wyraźnie zaprzeczały tym słowom, bo grube łzy roniła mimo woli, mówiąc: — Im czyściejeszą iest

ofiara i bardzię przystroiona, tém więcęcy na przyjęcie zasługuie. I iak gdyby chciała uchronić się od miotających nią uczuć.— Moia siostro! zawała; ocaleje z niebezpieczeństwa, iak syn Abrahama; bāran znaydzie się w krzaku uwikłany za rogi. Nie wolno będzie zbuntowanym braciom zgubić naszego Józefa. Niebo może dla obrony praw swoich, używać dziewcząt i młodzieńców, równie iak dzieci przy pierścianach.

— Niebo nas opuściło moia siostro; święci i aniołowie przestali opiekować się tą ziemią, przeklętą za nasze, i naszych oyców grzechy. Możemy otrzymać koronę męczeńską, ale nie zdołamy odnieść zwycięstwa. Maż którego rostropność tak była nam potrzebna w tém przesileniu, powołany został do lepszego świata. Opat Eu-

stachy iuż nie żyie.

đzie u Boga, odpowiedziała Magdalena. Obyśmy ie sami otrzymali także! my co żyć musimy na téy ziemi występu. Jego śmierć iest dla nas niewynagrodzoną stratą, bo gdzież znaydzimy człowieka, posiadaiącego iego wytrawioną rostropność, gorliwość, poświęcenie, mądrość i odwagę? Lecz, moia siostra, padł trzymając w ręku sztandar kościoła, a Bóg znaydzie ramię, które go podniesie. Kogoż na iego miejsce wybrano?

— Mówią, że nikt z oyców nie będzie śmiał przyjąć téy dostoyności. Kacerze sprzyięgli się aby nie dozwolić wyboru, i mnichom straszliwą zagroziły zemstą, ieżeli będą chcieli obrać nowego opata Śtęy Maryi. *Conjuraverunt inter se principes dicentes. Projiciamus laqueos ejus.*

— *Quousque tandem Domine!* zawołała Magdalena: byłoby to zgubną przeszkołą dla naszych zamiarów, moja

siostry; lecz stale trwam w przekonaniu, że Niebo da następcę szanownemu mężowi, któregośmy tak nieszczęśliwie postradali. Ale gdzież iest twoia córka Katarzyna?

— W sali, odpowiedziała matrona; lecz... i spoglądaąc na Rolanda, parę słów Magdalenie szepnęła.

— Nie lękaj się, rzekła, co ci doradzam, iest prawnem i koniecznym. Weale nie lękaj się Rolanda; chciałabym ażeby tak mocno był utwierdzony w wierze, iak dalekim iest od wszelkiego nagannego słowa i myśli. Jakkolwiek brzydzić się należy heretykami, trzeba jednak przyznać, że wychowuią młodzież w naczystszych moralności zasadach.

— To tylko dla tego, ażeby ozłocić powierzchnię kielicha, pobielić mury grobowca.

— Niech więc zobaczy Katarzynę, posnieważ uznaiesz to za rzeczą rozsądną

i przyzwoitą.—Póydź za nami młodzieńcze, przydała, i naprzód poszła z Magdaleną.

Te iedyne słowa wyrzekła do Rolanda, który za niemi poszedł w milczeniu. Przebyli wolnym krokiem liczne korytarze, komnaty puste i ogołocone ze sprzętów. Młodzieńiec miał czas do zastanowienia się nad położeniem swoim, a prędkość iego charakteru niemiłe uwagi nasuwały mu w tym względzie. Sądził, iż musi teraz ulegać woli starych kobiet, które sprzymierzyły się dla tego, ażeby wszelkimi jego krokami, podług swego widzi mi się kierować i używać go za narzędzie do wykonania planu, którego mu nawet odkryć nie chciały.

Wechodzili wtedy do pokoiu, w którym siedziała trzecia kobieta. Tu dopiero postrzegł Roland nieco sprzętów. Był tam krzesła, stół pokryty zielonem suknem, i krata przed kominem:

iedném słowem, pokóy był mieszkalny i mieszkano w nim w rzeczy saméy.

Wzrok Rołanda znalazł przyjemniejsze zatrudnienie, nad przegląd ruchomości téy izby, bo mieszkanka tego pokoiu, bardziéy zaięła go, niż to wszystko co dotąd widział. Wstała, i milcząc ukloniła się dwom matronom; ale postrzegłszy Rołanda, zarzuciła na twarz zasłonę, co uczyniła ze skromnością, bez udanego pośpiechu i trwożliwego pomieszania.

Przez ten czas, Roland mógł dostrzec, że to była osoba szesnastoletnia, a iéy spojrzenie równie żywe iak miłe. Kibić iéy była bardzo zręczna, nieco dobréy tuszy czyniło ją podobniejszą do Heby, aniżeli do Sylfidy, a wdzięk w każdym poruszeniu, ieszcze powiększał iéy powaby.

Jéy suknia była cudzoziemskiego kroju. Zaokrąglone iéy ramiona i zręczne palce, skrzętnie trudniły się na-

prawą sukna, i ktorém stół okryto,  
a w ktorém czas tak wielkie zrządził  
klęski iż bardzo potrzebowało igły zre-  
czny szwaczki.

Uważać potrzeba, że tylko ukrad-  
kiem Roland Groemes dostrzegł tych  
zajmujących szczegółów, a pod zasloną  
zakrywającą twarz młodę dziewczyny, zdało mu się, że i ona również  
się mu przygląda. Tymczasem obie ma-  
trony rozmawiały po eichu i niekiedy  
spoglądały na Rolanda tak, iż wątpić  
nie mógł że jest przedmiotem ich rozo-  
mowy. Nareście dosłyszał, iż Małda-  
lena Groemes rzekła eichym głosem:  
„Tak jest, moja siostra. Trzeba im po-  
dadź sposobność do zapoznania się; bez  
tego iakżeby zdołali wykonać to, co  
im poruczonem będzie?”

Pani domu, nie ze wszysktkim prze-  
konana tém rozumowaniem, czyniła  
niektóre uwagi, ale dyktatorski ton  
Magdaleny wkrótce odniósł zwycię-  
stwo.

— Niech i tak będzie, rzekła matrona, idźmy na balkon, tam dokończemy naszey rozmowy.— Zostawiamy was na kilka chwil, rzekła zwracając się do Rolanda i młodéy dziewczyny, rozma- wiacie z sobą i zapoznajcie się. Podniosła zasłonę Katarzyny, a Roland ujrzał iéy twarz nayżywszym ob- laną rumieńcem.

— *Licitum sit*, rzekła Magdalena po- glądając na swoię przyjaciółkę.

— *Vix licitum*, odpowiedziała tam- ta z niejakim przymusem, i ułożyła zasłonę młodéy osoby w ten sposób, iż zasłoniła iéy rysy nieukrywając ich zupełnie i rzekła do niéy po cichu, lecz tak głośno, aby Roland usły- szał:— „Pamiętaj kto iestés Katarzyno, i iakie iest twoie przeznaczenie: Otwo- rzywszy wówczas szklanne drzwi, słu- żące zarazem za okno, wyszła z Mag- daleną na wielki balkon, który niegdyś

ciągnął się wzdłuż wystawy zamkowej od strony południa. Ganek iego opadł przy jednym końcu, kamienie po odrływały się tu i ówdzie, ale mimo tego uszkodzenia tworzył ieszcze bezpieczną i miłą przechadzkę, na której w lecie wieczorem można było użyć chłodu; w zimie zaś w dzień, dobrotynych promieni słońca.

Obie stare matrony przechadzały się po nim, bardzo zaięte rozmową, jednakże za każdym razem, ile kroćkoło drzwi przechodziły, rzucały okiem na pokój, co nie uszło bacznosci Rolanda.

\*\*\*\*\*

## ROZDZIAŁ XI.

Życie ma wiosnę swoię, w nię radość, uciecha;  
Kwiat wtenczas ma wonią słodsza, donośnię brzmię  
echą;

Wtenczas, burzy i gromom śniałe stawim czoło,  
Dziewczyna swój fartuszek zarzuca wesoło,  
I nim od skwarów słońca lub deszczu okryta,  
Idąc do wsi, od śmiechu za boki się chwyla.

*Dawna Komedya.*

Katarzyna była w szczęśliwych latach niewinności i radości. Po pierwszy chwili pomieszania, zaznajomienie się z młodzieńcem, o którego nazwisku nie wiedziała nawet, przedstawiło się iż umysłowi pod śmieszny bardzo punktem widzenia. Piękne niebieskie oczy spuściła na robotę i zachowała przez kilka minut niezachwianą powagę. Ale nareście spo-

glądała ukradkiem na Rolanda, i widząc w jakim jest kłopotie, jak się kręci na krześle, obraca czapkę w ręku, jak cała powierzchowność jego okazuje, że nie wie od czego zacząć rozmowę: nie mogła dłużej utrzymać swojej powagi, a po kilku nie użytecznych usiłowaniach parsknęła śmiechem tak mocnym, chociaż mimowolnym, że łzy pomnożyły ieszcze przyrodzony blask iey oczu, i pukle pięknych iey włosów z nowym rozwinięły się wdziękiem. Sama nawet bogini śmiechów, nie byłaby mogła okazać się przyjemniejszą w té chwili od Katarzyny.

Paź dworak, nie byłby iey dozwolił śmiać się samej; ale Roland wyowany na wsi, równie był dumny jak boiaźliwym i nabił sobie głowę, że jest przedmiotem tego śmiechu. Usiłował podzielać iey wesołość, ale jego usiłowanie tak było nie trane, iż zrobił dziwaczny grymas, któ-

ry tak dalece u Katarzyny chętkę do śmiechu pomnożyły, iż mniemała, że się nigdy uspokoić nie zdoła.

Roland siedział iak na szpilkach dopóki Katarzyna zmordowana śmiechem znowu nie wzięła się do igły. Wtenczas rzekł do nięt tonem nieco oziębłym, iż niepotrzebnie polecono im, aby się zaznajomili, bo i tak byli dosyć poufali.

Mowa ta o mało drugi raz nie pozbudziła Katarzyny do śmiechu, ale zdołała poskromić się, wlepiła oczy w robotę i rzekła, iż prosi o przebaczenie i drugi raz obrażać go nie będzie.

Roland uczuł, że ton obrażony godości, byłby niezmiernie śmieszny w tym przypadku; że z odmiennym wyrazem powinien spojrzec na piękną śmieszkę, który wdzięczne rysy tak dobrze odegrały swoje rolę w té niemey scenie. Przybrał więc odpowiedni ton wesołości i prosił ażeby mu powie-

działa iak mają prowadzić dalę znamienoś, zaczęta pod tak szczęsną wróżbą.

— Musisz to sam roztrzygnąć, odpowiedziała, bo iuż może za wiele uczyniłam rozpoczynając rozmowę.

— A gdybyśmy też zaczęli, pytając się nawzajem, iak w romansach, o nasze nazwiska i historyą?

— Dobry pomysł, czyni zaszczyt twoiemu rozsądkowi. Zaczniyże, a ja ciebie słuchać będę, i tylko zapytam się wtenczas, kiedy mi się co zbyt ciemnem wydawać będzie. No, opowiedz mi twoie nazwisko i historyą.

— Nazywam się Roland Groemes, a ta stara wysoka kobieta jest moją babką.

— I twoią opiekunką? Bardzo dobrze. Gdzieś są twoi rodzice?

— Już nie żyją.

— Lecz czémże oni byli? bo spodziewam się, że miałeś ojca i matkę?

— I ia tak sądzę; ale bardzo mało wiem o nich. Mój oyciee był rycerzem szkockim i poległ na placu bitwy, a matka pochodziła z rodziny Groemes z Heather-Gill na zaprzeczonym gruncie; prawie cała familia zginęła gdy krayten spustoszyli Herriesowie z Caerle-rok i lord Maxwell.

— Czy iuż dawno?

— Przed moiém urodzeniem.

— Musi to bydź epoka bardzo odległa: rzekła, udając poważną minę: tak odległa, że nie podobna mi iest zapłakać po nich.

Nie potrzebuią tego, polegli na półu sławny.

— Dosyć iuż tego, dosyć o twoim rodzie mój piękny panie; naylepię mi się podoba próbka, która z niego pozostała: rzekła wskazując na Magdalene, która w téy chwili przechodziła przede-drzwiami. Twoia szanowna

babka ma tak poważną minę, iż mogłaby do płaczu pobudzać. Ale przeydzmy teraz do twoiény własnéy osoby, a ieżeli nie będziesz śpieszniény opowiadał twoiény historyi, dowiem się tylko połowy, bo matka Brygita coraz dłużéy zatrzymuje się, ile kroć przede-drzwiami balkonu przechodzi, a w iéy obecności tak nie podobna śmiać się iak w grobie twoich przodków.

— Moia historya nie wiele czasu zabierze: Wszedłem do zamku Awenel iako paź hrabiny.

— Jest to surowa hugonotka, nieprawdaż?

— Tak surowa iak sam Kalwin. Ale moia babka umie udawać purytanizm kiedy tego potrzeba, i umyśliła, nie wiem po co, wkręcić mię do zamku. Nie wiem iednakże czyliby na swoim postawiła, bo iuż od kilku tygodni mieszkaliśmy w zamku, a nie mogła upatrzyć sposobnény pory. Ale wprowadził

mię wecale niespodziewany mistrz obrzędów.

— A to kto?

— Wielki pies czarny, zwany Wolf, który mię ułowił iak kaczkę w ieziornie otaczającém zamek, i przedstawił pani swoiény.

— Nie można przybyć pod lepszą wróżbą? I czegóż nauczyłeś się w zamku? Lubię wiedzieć, na co się przydadź mogą w potrzebie moi znajomi.

— Polować na sokoła, gonić za psami, dojeżdżać konia, strzelać z łuku, wywiać włócznią i pałaszem.

— I chwalić się z tego. Ten ostatni talent byłby we Francji nayznamienitszym w paziu. Ale mów dalej, proszę, iakimże sposobem twój pan i pani będąc hugonotami, narażali się na trzymanie w zamku swoim pazią katolickiego?

— Ponieważ nie znali téy części mojej historyi, względem których, od dzie-

ciństwa nakazano mi abym przestrzegał tajemnicy, i ponieważ moia babka chciała usunąć wszelkie podeyirzenia, iak nay-regularnię słuchała nauk ich protestanckiego kapelana.

Domawiając tych słów, Roland przysunął się z krzesłem do Katarzyny.

— Nie przybliżaj się mój piękny panie, rzekła dziewczyna z niebieskimi oczyma, bo nasza przewielebna krewna, wkrótce przerwie rozmowę naszą, jeżeli postrzeże, iż chcesz za bardzo się zaznaiomić. Zostań więc na miejscu swoim i odpowiadaj na moje pytania. Iakiemi czynami dowiodłeś twoich znakomitych talentów?

Roland zaczynając wchodzić w ton i ducha rozmowy swojej młodej towarzyszki, odpowiedział wesoło. — Licznych dzieł dokazałem moja piękna przyjaciółko; w złośliwości, w figlach, nigdy nie pozostałem za drugiem; strzelałem do łabędzi, wypędzałem koty,

przestraszałem służące, nie wspominając o kapelanie, którego iako Hugonotę, dręczyłem wszelkimi sposobami:

— Wierzę iż ci heretycy nie mały odprawili pokutę, tak długo trzymając w domu swoim tak doskonałego paśia. Czyliż można wiedzieć iakie nieszczęsne zdarzenie pozbawiło ich tak wybornego sługi.

— Wszystko musi mieć swóy koniec, powiadają, i na mnie też kreska przyszła.

— Rozumiem cię. Ale iakaż była przyczyna téy wielkiéy katastrofy? Czyli, mówiąc po prostu, za cóż cię odprawiono?

— Nie wiele iest o tem do gadania. Wybiłem syna sokolnika. Oycieć chciał się wziąć na mnie do kia. Jest to zuch krzepki, ale z iak naylepszem sercem, i nikomu w całem chrześcianstwie łatwiéy nie przebaczyłbym tego że mię uderzył, ale wtedy nie znałem ieszcze iego do-

broci, a więc pogroziłem mu sztytem; przepadły moje funkcye paźiowskie i piękny zamek Awenelu. Tegoż dnia spotkałem moię przewielebną babkę i moia historya iuż się skończyła. Na ciebie kolę piękna panienko.

— To mi to szczęśliwa babka, która znayduje błąkaiącego się pazia, w téy właśnie chwili, gdy mu dzieciinne paski odcięto, i paź nie mniény iest szczęśliwy, że został gierkiem zacnýy babki, w chwili gdy, tylko co przestał słuchać świstaczki swoiény pani!

— Wszystko to nie należy do twoiény historyi, zwołał Roland, coraz to więcej podobając sobie żywosć Katarzyny. Powieść za powieść, to iest prawidłem dla towarzyszów podróży.

— Zaczekaj więc dopóki nie będziemy towarzyszami.

— O! nic z tego, ieżeli nie zechcesz mówić, zwołam damy... damy Brygity, iak mi się zdaie, i poskarżę się przed nią na twoie postępowanie.

— Nie potrzeba tego; moia historya iest podobna do twoiény. Temiż samemi słowy opowiedzieć ią można. Nazywam się Katarzyna Seyton i iestem sierotą.

— Jakże dawno postradałaś rodziców?

— Na to iedno pytanie: rzekła Katarzyna, spuszczając ku ziemi piękne oczy, z nagłym wyrazem smutku: na to iedno pytanie, z uśmiechem odpowiedzieć nie mogę.

— No, to nie odpowiadaj. Dama Brygita zapewne iest babką twoią?

Poępność zachmurzaiąca oblicze Katarzyny, znikła tak prędko, iak chmura która na chwilę słońce w dzień letni zakryje, i odpowiedziała ze zwykłą wesołością: — Dwadzieścia razy gorzéy, to iest moia ciotka, i nigdy nie była poszła za mąż...

— O Boże! zwołał Roland śmiejąc się, iak smutna historya! i cóż ieszcze straszniejszego usłyszę?

— Podobnie iak ty, oddana byłam w służbę, chciałam powiedzieć na naukę.

— I odprawiono cię za to żeś uszczypnęła duegę, albo znieważyła garderobianę milady?

— Nie, w tém mieyscu różni się historya nasza, bo cały dom odprawiony został od razu, a teraz wolna iestem iak leśna dziewczyna.

— A mnie tak uciechyła ta wiadomość iak gdyby kto złotem podszył mój kaftan.

— Bardzo dziękuię! ale nie wiem dla czego cię to może obchodzić.

— Mnieysza o to, mów dalej. Naszym damom uprzykrzy się wręście przechadzka na balkonie; kraczą iak dwie stare wrony, ochrzypną od wieczornego zimna i wrócą do swojej klatki. Jakże się nazywała twoia pani?

— Jéy nazwisko zna cały świat. Miała piękny dom, dobrze utrzymywany i urządżony, a na iego czele była moia

ciotka, panna Brygita. Miałam wielką liczbę towarzyszek; wstawałyśmy wezśnie, szły spać późno; modliłyśmy się długą, obiadowały krótko.

— Służyłyście więc iakię starę sknerce?

— Na Boga! nie bluźni, zawała przestraszona Katarzyna. Niechay mi Bóg przebaczy żem tak płocho mówiła; chciałam żartować, ale bez złego zamiaru. Dowiedz się więc, że dom ten przed niedawnym czasem był klasztorem Śtęej Katarzyny senneńskię; moja ciotka była iego xienią; znaydowało się w nim dwanaście zakonic, a ia byłam nowicyuszką. Lecz heretycy zrabowali dom, na wpół go rozwaliли i wypędzili moje towarzyszki.

— I cóż się z niemi stało?

— Rozproszyły się na wszystkie strony. Jedne schroniły się do klasztorów Francji i Flandrii; drugie zaś, czego obawiam się bardzo, dały się

uwieśdz próżnym roskoszom świato-wym. Moiény ciotce i mnie, dozwolo-no tu pozostać, albo raczéy przez szpa-ry patrzą na nasz pobyt. Moia ciotka ma potężnych krewnych pomiędzy Kerrami; zagrozili zemstą każdemu kto-by nas znieważył; ich opieka zabezpiecza nas, bo łuk i włócznia są dzisiaj nay-lepszym argumentem.

— Tak więc siedzicie spokoynie w ukryciu! Ale nie wypłakałażeś oczu, roniac łzy, żeś musiała opuścić służbę Śtęy Katarzyny?

— Nie ze wszystkiem: rzekła ze schylonemi oczyma na robotę; rzuci-wszy nań wprzódy spojrzenie, które-muby serce potróyna chyba otoczone miedią oprzeć się mogło, a nasz paź był zupełnie bezbronny.

— Cóż myślisz Katarzyno, rzekł Roland. Kiedy oboje tak dziwnym sposobem i w iednymże czasie iesteśmy odprawieni ze służby, gdybyśmy też, ażeby nie przerywać samotný rozmow-

wy naszych matron, umyślili razem postąpić kilka kroków na drodze życia?

— Piękna propozycja! zawałała Katarzyna, i godna roztrzepanéy głowy pazi. Czyś pomyślał, że na téy drodze nie można podróżować z pustymi kieszeniami? Jakże potrafimy napełnić nasze? Zapewne ja śpiewać będę ballady, a ty obdzierać podróžnych.

— Jak ci się podoba, rzekł paź, urażony, że Katarzyna wyszyda iego niedorzeczny wniosek; lecz gdy tych słów domawiał, Magdalena Groemes i xieni, gdyż ią tak nazywać powinniśmy, weszły do komnaty.

## ROZDZIAŁ XII.

Jestem, wiedz mój bracie,  
 Naystarszym, naymądrzejszym, nayswiętszym człowie-  
 kiem;  
 A przed moją świętością, mądrością i wiekiem,  
 Z pokorą, z posłuszeństwem, wszyscy uledz macie.

*Dawna Komedyja.*

Przybycie dwóch matron, przerwało rozmowę przytaczoną w poprzedzającym rozdziale. Magdalena Groemes w te słowa mówić zaczęła do młodzieży:

—I cóż moje dzieci, czyliżeście się dosyć nagadali i zapoznali z sobą, iż dwaj towarzysze podróży, idący drogą cieniami pokrytą i pełną niebezpieczeństw, którzy przypadkiem zszedłi się, badaią charakter i uczu-

cia tych, co mają podzielać ich niebezpieczeństwa?

Rzadko się zdarzało, ażeby wesoła Katarzyna powściągnąć się mogła od żartów, chociaż bardzo często żałowała potém słów niebacznie wyrzecionych.

— Twóy wnuczek, rzekła, myśli z takim zapałem o zamierzonéy podróży, iż przed chwilą mówił do mnie że ja chce natychmiast rozpocząć.

Zbyt wiele masz zapału Rolądzie, rzekła Magdalena; podobnie jak wezoray za wiele okazywałeś niedbałości. Prawdziwy środek znayduje się w posłuszeństwie, które czeka dopóki mu nie dadzą znaku, i natychmiast iest gołowem.

— Ale teraz moje dzieci, czyliżeście dostałcznie przypatrzyli się rysom waszym, ażebyście, w iakiémkolwiek miejscu, w iakiémkolwiek przebraniu spotkacie się z sobą, poznać mogli jedno

w drugim, tajemnych działaczów ważnego dzieła, do którego was powołano. Przypatrzie się sobie raz ieszcze, niechay każdy rys fizyonomii waszey wyryje się niezatartym sposobem we wspomnieniach wzajemnych. Nauczcie się po stąpaniu, odgłosie kroków, dźwięku głosu, poruszeniu ręki, skinienniu oka, poznawać sprzymierzeńca, którego Niebo dało wam dla wykonania woli swoiény. Powiedz mi Rolandzie Groemes czy poznasz Katarzynę Seyton w iakiémkolwiek mieyscu i czasie zobaczycie się z sobą?

Roland, z równem zięciem iak szczerością odpowiedział, że ią pozna nemylnie.

— A ty moia córko, rzekła do Katarzyny, czyliż przypomnisz sobie rysy tego młodzieńca?

— Dalibóg, odpowiedziała Katarzyna, od nieakiego czasu nie widziałam bynajmniény tak wielkiény liczby ludzi

ażeby ich rysy mogły się w pamięci mojej pomieszać; sądzę więc, że od razu nie zapomnę rysów waszego wnuka, chociaż nic takiego w nich nie widzę coby na szczególne zasługiwało wspomnienie.

— Weźcie się więc za ręce, moje dzieci, i daycie sobie po całowanie pokoiu.

Na te słowa, xieni stanęła pomiędzy Rolandem i Katarzyną; wyobrażenia klasztorne nie dozwalały jedy aż do tego stopnia posuwać ich poufałości.

— Moja siostra, rzekła do Magdaleny, zapominasz, iż Katarzyna jest ołubienicą Nieba, nie mogę dozwolić...

— W imię Nieba nakazuję ażeby dali sobie po całowanie pokoiu! pięknie głosem zawałała Magdalena. Cel moja siostra, uświęca środki, których musimy używać.

— Ci, którzy mówią do mnie, rzekła xieni Brygita, obrażona nakazując

cym tonem przyjaciółki, nazywają mnie  
*xienią* a przynajmniej matką. Lady  
Heathergill zapomina, że mówi do xie-  
ni Śtęży Katarzyny.

— Gdy byłam lady Heathergill, rze-  
kła Magdalena, wtedy bez wątpienia  
byłaś xienią Śtęży Katarzyny; ale te dwa  
nazwiska już zginęły; uszanowanie dla  
nich okazywane, znikło z niemi razem.  
Przed obliczem sądu ludzkiego, ieste-  
śmy tylko dwie ubogie kobiety, pogar-  
dzone, poniżone, uciemiężone, i sta-  
rość wlecze nas ku mogile. Ale czém-  
że iesteśmy przed obliczem Boga? wy-  
konawcami iego rozkazów. W słabości  
naszej objawi się moc kościoła; poni-  
żyć zdołamy politykę Murraia i zarozu-  
miałość Mortona. Do takichże to na-  
rzędzi chcesz stosować szczupłe prawi-  
dła karności klasztorné? Czyliż za-  
pomniałaś, że twoi przełożeni nakazali  
ci, słuchać mnie w téy całéy sprawie?

— Dobrze więc! z gniewem rzekła

xieni, niechay zgorszenie i grzech spa-  
dnie na głowę twoię!

— Zezwalam na to, odpowiedziała Magdalena; a teraz moie dzieci, po-  
wtarząm, dajcie sobie pocałowanie po-  
koiu.

Ale Katarzyna przewidując ia-  
kim sposobem skończy się ta sprzeczka;  
wybiegła z izby, i nie trzeba powia-  
dać, że Roland może więcej być nie-  
kontent z ieyodeyścia, aniżeli Magda-  
lena.

— Poszła, rzekła xieni, przygo-  
wać skromny posiłek. Nie podoba się  
iadło nasze ludziom światowym, bo nie  
mogę uwolnić się od wykonywania  
wyrzeczych ślubów, chociaż bezbo-  
żni zniszczyli nasz przybytek i schro-  
nienie.

— To bardzo dobrze, moia siostra,  
rzekła Magdalena. Należy wypłacić  
kościółowi aż do ostatniego szelaga  
należne dziesięciny; nie ganię cię że

tak ścisłe przestrzegasz reguły twoego zakonu; ale pamiętaj, że kościół ie ustanowił, a tém samém kościół może ie rozwiązać kiedy idzie o iego własną sprawę.

Xieni nic nie odpowiedziała.

Człowiek, któryby lepiéy znał naturę ludzką aniżeli nasz paź niedoświadczony, byłby się bawił, porównywając dwa zupełnie odmienne rodzaje fanatyzmu tych dwóch kobiet. Xieni boiaźliwa i niekontenta, tak małego była umysłu, iż okazywała pretensye, którym rewolucya kres położyła, i chciała stosować się do starodawnych zwyczaiów; których iuż wskrzesić nie mogła. Tém była w nieszczęściu, czém niegdyś w pomyślności: skrupulatną, dumną, słabego umysłu.

Silniejszy i wznioślejszy umysł Magdaleny, wyżey sięgał, i w nadzwyczajnych zamiarach, będących tworem zapalonéy i dziwacznéy wyobraźni, nie chciał ulegać pospolitym prawidłom.

Lecz Roland Groemes, zamiast rozróżniania charakteru starych matron, czekał niecierpliwie na powrot Katarzyny, nie wątpiąc, że iego babka nieskłonna bynaymniéy do ulegania, ponowi rozkaz, ażeby dali sobie pocałowanie pokoiu.

Zawiódł się jednakże w oczekiwaniu, albo raczey w nadziei. Katarzyna wróciła dopiero wtenczas, kiedy ią xieni zwołała. Postawiła na stole dzbanek wody, talerze i kubki drewniane, a Magdalena zapewne zadowolona tryumfem, który odniosła nad xienią, zniewalając ią do zrzeczenia się oporu, nie go chciała dalej posuwać; za to umiarkowanie, iey wnuczek nie był iey bardzo wdzięcznym.

Z tém wszystkiém, Katarzyna czyniła dalsze przygotowania do biesiady bardzo prostéy, składającey się bowiem z kapusty ugotowanéy na wodzie, solą tylko przyprawionéy. Do tego przy-

dała kilka ścisłe odliczonych kawałków chleba; a za napój służyła im woda z o-wego wyżey wspomnianego dzbanka. Po błogosławieństwie wyrzeczoném po łacinie, zasiedli do stołu. Skromny ten posiłek, trzy kobiety iadły z apetytem, chociaż z umiarkowaniem. Ale Roland Groemes nawykł był do lepszego iadła. Sir Albert Glendinning, sa-dził się na to . ażeby z niepospolitym przepychem dom utrzymywać; co do gościnności, nie ustępował w nieczém wielkim baronom północný Anglii. Może, postępując tym sposobem, mnieniał, że dokładniény odegra rolę, do której nie był z urodzenia przeznaczony, rolę wielkiego pana i naczelnika Klanu. Dwa woły i sześciu baranów zarzynano u niego co tydzień, kiedy był w domu, a podczas iego nieobecności różnica nie była bardzo znaczną. Chleb pszenny i naylepsze piwo rozdawano dowoli iego służbie i całemu orszaku.

wi, a Roland Groemes żył przez lat kilka na tém polu obfitości, zbytków, nie przygotował się więc do gotowanéy kapusty i dzbanka wody. Zapewne widaćć to było z iego twarzy, gdyż xieni powiedziała mu:—,,Stół barona heretyckiego, u którego żyłeś tak długó mój synu, lepszym był zapewne, aniżeli stół cierpiącego kościoła; a jednakże w uroczyste święta kiedy zakonnice iadały ze mną, nawykwintniejsze potrawy, dozwolone nam w tych zdarzeniach, ani przez połowę nie tak smakowały mi, ile te warzywa i woda, będące teraz moim ciągłém pożywieniem, nawet w dniach uroczystych. Nie powiedzą, że pani tego domu, czyni go mieyscem biesiady i radości, gdy święty kościół, którego niegodnym iest członkiem, cierpi dni żałoby i prześladowania.

— Bardzo dobrze mówisz moja siostra, rzekła Magdalena, ale teraz czas

iuz nietylko cierpić za dobrą sprawę, ale i stanąć w iey obronie. Teraz kiedyśmy spożyli nasz pielgrzymi posiłek, naradzimy się na osobności względem naszey iutrzeyszey podróży, iakim sposobem użyc mamy to dwoie młodych ludzi i iak zaradzić ich niedoswiadczeniu i płochości.

Chociaż niekotent z tak lichego obiadu, Roland zadrzał z uradowania, słysząc te słowa; nie wątpił bowiem, że z nich wyniknie samotna rozmowa, między nim i ładną nowicyuszką. Ale zawiódł się w nadziei. Katarzyna, iak się zdawało, nie chciała mu w tem dopomódz, albowiem, bądź przez delikatność, bądź przez dziwactwo, bądź przez iakies nieodgadnione pobudki, dla których kobiety lubią razem i dręczyć i trzymać w kaydanach płeć, roszczącą sobie prawo do wyższości nad niemi; rzekła do xieni, iż musi odeyść na godzinę przed nieszporami, a gdy

na to otrzymała zezwolenie, Katarzyna wyszła, nisko ukłoniwszy się dwom matronom, Rolandowi zaś lekkiem i poufalszém skinieniem głowy. Uczyniła to z miną bardzo poważną; lecz pod tą powagą Roland dostrzegł złośliwą radość, z przekory, który w té chwili doznawał.

— Niech licho weźmie złośliwą diewczynę, pomruknał między zębami, chociaż obecność xieni powinna była powściągnąć wyrażenia tak światowe. Ma serce tak twarde iak hyena śmieciąca się, o który mówią pewna powieść.

Obie matrony odeszły także, wyraźnie zapowiedziawszy Rolandowi, ażeby pod żadnym pozorem nie wychodził z klasztoru, ani nawet nie pokazywał się w oknie. Xieni naznaczała za pobudkę té ostrożności, że heretycyawsze gotowi byli rozszerzać gorszące wieści o zgromadzeniach zakonnych.

— Surowość heretyka Wardena nie po-

suwała się tak daleko, były paź rzekł sam do siebie, bo chociaż wymagał ażebyiego kazań z iak nayściśleyszą słuchano uwagą, zostawał nam potém zupełną swobodę; niekiedy nawet mieszkał się do naszych niewinnych zabawek, i mniemam, że nie łatwo byłby poprzestał na kapuście i chlebie ięczmiennym. Ale te dwie stare kobiety pograły się w ciemnościach i tajemnicy, i chcą żyć samym postem. Dobrze więc, ponieważ zabroniły mi wychodzić za próg, muszę dla zabawki zobaczyć co się dzieje we wnętrzu tego domu. Może w iakim kącie znaydę tę śmieszkę z niebieskiem oczyma.

Wyszedł więc z pokoiu, drzwiami przeciwnemi tym, którymi wyszły dwie matrony: łatwo zgaduiemy, że nie chciał ich narady przerywać, i błakał się po izbach tego pustego gmachu szukając coby go zaiąć albo zabawić mogło.

Dostał się na długiego korytarz, na który wychodziły cele zakonne. Były otwarte, niezamieszkane i ogołocone z téy szczupłyé liczby sprzętów, któryé ustawy zakonne dozwalały.

— Ptaszki uleciały, pomyślał; ale czy im gorzéy będzie na wolnym powietrzu aniżeli w tych ciasnych klatkach, niechay to rozstrzygnie mądrość panny xieni i moiéy szanownéy babki. Sądzę, że uwięziony skowronek wolałby śpiewać pod błękitném sklepieniem nieba.

Po krętych i wązkich schodach, zbudowanych iakoby dla przypominania zakonnicom ich obowiązków postu i umartwienia ciała, zszedł do izb dolnych. Były w smutniejszym ieszcze stanie aniżeli górné, ponieważ najprzód na nie wywarli wściekłość swoię napastnicy. Okna wybito, drzwi wyłamano, nawet porozwalano ściany między celami. Napatrzywszy się temu zniszczeniu, znużony wi-

dokiem tak iednostaynym, iak smutnym, chciał się wrócić, gdy w tém usłyszał ryczenie krowy w pobliskiéy izbie. Tak się tego nie spodziewał, iż zadrżała iak gdyby to był ryk lwa i schwycił za sztylet, a w tém piękna Katarzyna Seyton stanęła we drzwiach izby.

— Witam cię mężny rycerzu! zawała z uśmiechem; od czasu Gwidona Warwika, nikt godniény staczać nie mógł pojedyngu z krową.

— Dalibóg, rzekł Roland, zdało mi się, że diabeł obok mnie ryczy; któryby mniemał, że znaydzie krowę w komnatach klasztornych?

— Wszystkie krowy z sąsiedztwa mogłyby się tu zeyśdź, rzekła Katarzyna; mury nasze nie wzbronią im przystępu; ale ta iest mieszkanką naszego domu; teraz możesz wrócić tam zkądés przeszedł.

— Muszę wprzódy zobaczyć te pu-

stelnicę, odpowiedział Roland, i wszedł do izby mimo sprzeciwiania się, na pół żartobliwego, na pół poważnego młodej nowicyuszki.

Wielka sala, dawniejszy refektarz opactwa, służyła téy krowie za oborę. Posowań ozdobiona była wypuklém rznięciem, a w ścianach były framugi na posągi świętych, zniszczone teraz wściekłością nowych obrazoborców. Te zabytki architektury dziwnie odbijały od żłobu i drabiny, sporządzonych dla krowy w rogu izby, od siana przygotowanego na ię żywność, i słomy na posłanie.

— Dałibóg, rzekł Roland, krowa ta nie mieszka naygorzéy ze wszystkich mieszkańców klasztoru.

— Pozostań więc z nią, i synowską troskliwością wynagrodź ię stratę potomstwa, które nieboraczka postradała, rzekła Katarzyna.

— Pozostanę przynajmniętym dla tego

ażeby ci dopomódz do iéy oprzątnienia piękna Katarzyno: odpowiedział Roland porywając widły.

— Day pokój, nie wiesz iak się wziąć do tego, i ieszcze ściagniesz na mnie burę, a i tak mam co słuchać.

— Co! czyliżby cię łaiano za to żeś przyjęła moię pomoc, kiedy mam bydż twoim sprzymierzeńcem w iakiéys ważny sprawie? Taby sensu nie miało; ale gdy myślę o tém, powiedz mi, proszę, do iakiego to wielkiego przedsięcia iestem przeznaczony?

— Czy ia wiem? Zapewne do wybierania ptaków z gniazda, sądząc z postaci rycerza.

— Dalibóg, ten kto wybierał sokoły na skale Gledsraig, moia ładna nowicyuszko, może się z tego pochwalić. Lecz niechay przepadną sokoły, nie chcę ich znać. Owe to przeklęte ptaki są przyczyną moiéy wędrówki. Gdybym cię nie był napotkał na dro-

dze, gryzlibym z wściekłości móy puginał; ale ponieważ mamy bydż towarzyszami podróży...

— Towarzyszami pracy, lecz nie podróży. Dowiedz się na twoię pociechę, że xieni i ja opuszczamy to mieysce, iutro, wprzódy niż twoia szanowna babka; a ieżeli znoszę twoię obecność w téy chwili, to dla tego, iż nie mało czasu upłynie nim się zobaczymy z sobą.

— Na świętego Andrzeja! nic z tego nie będzie, chyba z tobą razem pójdę na to polowanie.

— Sądzę, że w téy rzeczy jak i w innych wielu, musimy czynić to, co nam rozkażą. Ale słyszę głos moiény ciotki. Xieni przyszła w rzeczy saméy; surowo spojrzała na swoię siostrzenicę, gdy tymczasem Roland, udawał że przywiązuje krowę do złobu.

— Młodzieniec ten, rzekła Katarzyna, pomagał mi ażeby krowę bliżey u złobu przywiązać. Przeszłej nocy prze-

straszyła całą wieś, wychylając łeb przez okno i rycząc. Jeżeli nie odkryią tego zjawiska, heretycy poczytają nas za czarownice; a ieżeli odkryją, zabiorą nam krowę.

— Nie bój się o to, z szyderstwem odpowiedziała xieni. Ten, któremu została sprzedana, zabierze ją natychmiast.

— Bądź mi więc zdrowa moja biedna towarzyszko, rzekła Katarzyna, kładąc rękę na łopatce krowy: tuszę sobie, iż w dobre ręce wpadniesz, bo od niejakiego czasu, nayszczęśliwsze chwile moie były te, w których zaymowałam się tobą. Czemuż Bóg nie zrządził żebym się do takich tylko prac zrodziła?

— Wstydź się nikczemna dziewczyno! wstydź się! zawała xieni. Jestże to mowa godna imienia Seytonów, siostry tego zakonu, wybranéy postępujące ścieszka łaski? I śmiesz tak

mówić przed obcym, przed młodzieńcem? Póydź mi zaraz do twego oratoryum, nic dobrego i czytaj godzinki dopóki nie powróczę! Powiem ci naukę, która okaże ci wartość twoiego położenia i stanu.

Katarzyna iuż chciała odeyśdź, w milczeniu rzuciwszy na Rolanda wzrok na pół komiczny, wyrażający: „Patrz, na co mię naraziło twoie przyście.” Lecz nagle zmieniając zamiar, postąpiła ku niemu, podała mu rękę, życząc dobréy nocę. Roland uchwycił tę rękę wprzódy, nim przerażona xieni zdołała temu przeszkołodzić. Katarzyna obracając się potém do niény: — Przebacz matko, rzekła, iuż od tak dawna nie widziałyśmy życzliwéy nam ludzkiéy twarzy. Młodzieniec ten przybył do nas iako przyjaciel; pożegnałam się z nim iako z przyjacielem, ponieważ można stawić sto przeciw iednemu, że iuż się nie zobaczymy na tym świecie.

Poznaię lepię niżli on, że siły wasze nie wystarczą zamiarom, że na wierzchołku skały stawiacie głąz, którego upadek w przepaść nas pociagnie. Żegnam się więc z nim iak z ofiarą, taką, iaką sama iestem.

Odeszła, wyrzekłszy te słowa tonem okazującym że głęboko czuie to co mówi, odmiennym weale od iéy zwykłej wesołości; i oczywistą było rzeczą, iż Katarzyna mimo niedoświadczenia i młodości swojej, więcej ma trafnego sądu i przenikliwości, aniżeli by z iéy zwyczajnego postępowania wnosić można.

Xieni milczała po iéy odejściu, a naga skonała na iéy ustach. Uderzył ią poważny i patetyczny prawie sposób mówienia Katarzyny, a skinąwszy na Rolanda aby szedł za nią, zaprowadziła go do komnaty, gdzie był obiadował i gdzie przygotowaną była skromna wieczerza, składająca się z mleka i chle-

ba ięczmiennego. Magdalena przyszła z pobliskiego pokoju, lecz Katarzyna nie pokazała się wecale. Jedli krótko i w milczeniu, i natychmiast po wieczerzy wyprawiono Rolanda do bocznej izby, gdzie już zastał przygotowane łóżko.

Dziwaczne okoliczności w których się znajdował, zrądziły spodziewany skutek, to iest, spędziły sen ziego powiek, i słyszał jak dwie matrony naradzały się po cichu. Rozmowa ich dosyć długo trwała, a gdy się miały rozłączyć, usłyszał xienię mówiącą wyraźnie te słowa:— Szanuję moia siostrę, charakter i władzę, którą ci nadali przełożeni, ale sądzę, że nim wdamy się w tak niebezpieczne przedsięwzięcie, trzeba wprzódy poradzić się którego z ojców kościoła.

— A gdzież znajdziemy biskupa albo wiernego i nieustraszonego opata? — za wołała Magdalena. Wierny i nieustra-

szony Eustachy iuż nie żyie, Niebo zabrało go z tego zepsutego świata, uchroniło go od prześladowania i tyraństwa niewiernych. Oby w miłosierdziu swoim przebaczyło mu błędы, iakie mógł popełnić przez ułomność natury ludzkię! Ale gdzież znajdziemy człowieka takiego iak on, któryby nam porady udzielić zdołał.

— Niebo wskaże go siostro. Oycowic, którym ieszece wolno mieszkać w opatwie Kennaquhair, obiorą ponim następcę, w brew pogrózkom heretyków. Pastorał iego powierzą odważnym rękom, a mitrę umieszczą na głowie, którą Nieba obdarzyły mądrością.

— O tém dowiemy się iutro, rzekła Magdalena. Ale ktorž przyymie obwiązki, ieden tylko dzień trwać mogące? chyba ten, kto chce mieć udział w rabunku. Jutro zobaczymy, czyli pośród tysiącami świętych, którzy wyszli z klasztoru Śtey Maryi, iest cho-

ciaż ieden coby chciał spojrzeć wzrokiem politowania na to opactwo niegdyś tak kwitnące, dzisiaj tak nieszczęśliwe. Bądź zdrowa siostro, zobaczymy się w Edymburgu.

— Niechay Pan będzie z tobą, rzekła xieni, i rozłączyły się.

— Wiem przecie pomyślał Roland, że idziemy do Kennaquhair, a potém do Edymburga: tylem zyskał na tym, żem nie zasnął. Zgadza się to z moiemi zamiarami. W Kennaquhair zobaczę się z oycem Ambrożym, w Edymburgu potrafię myśleć o sobie, nie będąc ciężarem dla ukochanéy moiéy krewnéy, a w tym mieście zobaczę znowu piękną nowicyuszkę z błękitnemi oczyma i z figlarnym uśmiechem.

Ostatnie to wyobrażenie zajmowało go ieszcze w chwili gdy zasnął, i przez całą noc marzył tylko o Katarzynie Seyton.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.